Cena 20 zł.

ZDRÓJ
KULTURA-ŻYCIE-SZTUKA

ROK I | LUBLIN, 1—15 KWIETNIA 1947 R. | Nr 5 (30)

TREŚĆ NUMERU:

KALIKST MORAWSKI
WSPÓŁCZESNY TEATR FRANCUSKI
PAUL VALERY
MÓJ FAUST
KAROL CAPEK
REKORD
TEODOR GOŹDZIKIEWICZ
RODZONY KOŃ
JANINA PLISZCZYŃSKA
GUSTAW PRZYCHOCKI
J. E. PŁOMIEŃSKI
DEBIUT POETY LUDOWEGO
RECENZJE KSIĄŻEK
PRZEGLĄD CZASOPISM
KONKURS OCZYTANIA

MILETA JAKSZIĆ

GOLGOTA

Mroczy się niebo. A księżyc krwawy
W północnym, głuchym tli się obłoku.
Ciężkim westchnieniem szepce przez trawy
Czerni się niebo; gwiazd rój nie krąży;
Wicher. Golgota śpi w gęstym mroku.
Obłęd gorączki ziemię pogrążył,
Planetę starą,
Jak półmrok szarą;

Grzech na niej skrzydłem znużonym siada —
Już ócma pada...
Trzy szubienice ponuro dyszą
W tej głuchej porze zamarłą ciszą:
Puste i czarne
Zdjęto z nich właśnie ciała ofiarne:
Dwa zwykłych łotrów oraz Boży syn,
Dwa dzikie kołce i On — sam bez win...

Dnieje już, ale brak jeszcze świtu;
Z jerozolimskich wież twardych szczytów
Jeszcze nie pierzchła ócma niemiła;
Na wschodzie zorza nie zaświeciła;
Zorza, zwiastunka dzionka miłego;
Noc jeszcze leży wśród mroku wrażego,
Jak czarne skrzydło kruka martwego.

Wśród grozy, strachu, mroku powodzi
Stroskany naród błąka się, brodzi
W ciemności bagnie;
I zgiełk się czyni
Wokół świątyni;
Lecz lud pasecznanej krwi dziś nie pragnie,
Modlitwą chciałby skrzepić nadzieję
I szept się niesie: „Dnieje już, dnieje?"

Wtem upiór blady stanął wśród ludzi,
Obcy tym tłumom, grozę w nich budzi;
Wśród tłumu staje —
Nikt go tu nie zna, nikt nie poznaje.
Duch to czy upiór północnej doby,
Czy też prorocze porzucił groby;
Broda się wije w jasne promienie,
Wzrok wniebowzięty, długie odzienie,
Okiem swym gęstą ciemność przebija
I drżącą ręką woal odwija
Z przyszłej sromotnej hańby Golgoty —
„Chrystus zmartwychwstał!" w mroku martwoty
Głos jego tonie...

Golgota płonie!
A nad nią zorza lśni Wielkanocna,
Na niej świątynia, jak góra mocna,
W rumianym blasku kąpie się, krąży;
I ku niej dąży
Z dalekich krain ów świat przyszłości.
Pod jasnym niebem tych wspaniałości
Grzmi coś, jak dzwony;
„Chrystus zmartwychwstał!" powietrzem płynie,
Na krańcach morza, w bezkresie ginie...
Przez chwilę tylko — wtem mroczne siły
Ziemię spowiły.
W obliczu grozy Boga spojrzenia,
Co twarz rumianą w bladą przemienia,
Z Judasza ust się wyrywa skarga —
Włosy swe targa,

w piersi się bije,
Ku niebu kornie wyciąga szyję,
Na ziemię pada:
„Przekleństwo! Blada!"

Chwieje się, pęka chram Salomonów
Od wielkanocnych pogrzmotu dzwonów.

Z serbskiego przełożył
ST. K. PAPIERKOWSKI

Z okazji Świąt Wielkiejnocy

wszystkim naszym Czytelnikom, Współpracownikom i Przyjaciołom
składamy najserdeczniejsze życzenia

REDAKCJA i WYDAWCA
DWUTYGODNIKA KULTURALNO-LITERACKIEGO „ZDRÓJ"

KALIKST MORAWSKI

WSPÓŁCZESNY TEATR FRANCUSKI

W ostatnich latach powstały we Francji nowe kierunki teatralne, będące wyrazem zainteresowań zarówno autorów, jak i szerszej publiczności. Poszukiwanie nowych dróg dało teatrowi nowe zdobycze, zarówno w dziedzinie literatury teatralnej jak i realizacji technicznej. Obok realizmu spotykamy idealizm, mistycyzm, marzenia; obok dokładnej obserwacji życia stwierdzamy silny pierwiastek fantastyczny. Tragedia, komedia, dramat, wszystkie rodzaje twórczości teatralnej mają licznych, często wybitnie utalentowanych przedstawicieli. Problemy poruszane na scenie interesują szerokie kręgi publiczności — są to przeważnie zagadnienia o charakterze ogólno-ludzkim z dziedziny życia codziennego ludzi szarych jak również z dziedziny religii, polityki, kultury. Trudno jednakże stwierdzić, jaki rodzaj teatru najbardziej odpowiada francuskiej publiczności, która zarówno chętnie ogląda komedie jak i tragedie.

PAUL VALERY I JEGO „MON FAUST"

Problem istoty i celu ludzkości interesuje żywo teatr francuski. Liczni autorzy starali się rozwiązać go, każdy według własnego światopoglądu. **„Mon Faust"**, którego autorem jest wielki liryk Paul Valéry, zmarły w 1945 roku, to jedna z najbardziej charakterystycznych sztuk współczesnych, zajmujących się omawianym obecnie problemem. Valéry dał nam w „Fauście", wydanym w 1946 r. po śmierci autora swój testament i jednocześnie dowiódł, że poeta liryczny, jakim był całe życie, może stać się zupełne niespodziewanie dobrym, głębokim dramaturgiem. Jak sam autor stwierdza we wstępie do swego utworu, pomysł napisania III-go, samodzielnego „Fausta" powstał w r. 1940. Miał to być cykl utworów scenicznych o różnej formie i różnych rozmiarach. Udało mu się stworzyć tylko 3/4 pierwszej sztuki „Lust", oraz 2/3 z drugiej „Le Solitaire". Razem tworzą one logiczną i zamkniętą w sobie całość. Możemy tylko żałować, że autor nie chciał doprowadzić do końca całego projektowanego cyklu.

Część pierwsza zatytułowana jest „Lust", la demoiselle de cristal jest to częściowe powtórzenie historii kuszenia Fausta przy pomocy uroku kobiecego. Faust nie umarł, tak jak podaje Goethe w drugiej części swego nieśmiertelnego dzieła, Faust według P. Valéry żyje dalej w naszej epoce i dyktuje swej sekretarce Lust pamiętniki. Lust jest zakochana w mistrzu. Imponuje jej ogrom wiedzy i doświadczenia życiowego Fausta. Mefistofeles liczy na to i stara się odtworzyć historię Fausta i „Małgorzaty", taką jak odmalował ją Goethe w pierwszej części „Fausta". Diabeł pobudza fantazję Lust, kusi również ucznia Fausta, olśnionego pięknością sekretarki mistrza. Ale zamiar pozostaje tylko w dziedzinie zamiarów i tu przechodzimy do oryginalności P. Valéry i do jego koncepcji człowieka świata. Faust tak jak i sam Valéry przeszedł cały cykl doświadczeń życiowych. Myśl jego nie doszła do żadnych konkretnych rezultatów z wyjątkiem ogólnego zwątpienia. Jedyna pewność to nicość życia i człowieka. Wprawdzie Lust widzi w mistrzu „księcia idei", ale mistrz uznaje swe myśli tylko jako puste abstrakcje. Duch ludzki idzie nie tam, dokąd kieruje go własna wola, jak twierdzi optymistka Lust, lecz dokąd może i jak może. Myśl to „nałóg samotny, który wierci w nudzie czarną dziurę, którą wypełnia głupota". Również miłość nie ma dla Fusta żadnego uroku — jest to złuda i nic więcej. W konsekwencji diabeł jest bezsilny. Faust ironicznie uczy Mefistofelesa, że „na świecie istnieje coś więcej niż dobroć i zło". Sam diabeł jest zaskoczony tą bezgraniczną negacją wszystkiego. A więc cóż pozostaje Faustowi? Chce on pozbyć się wszystkiego, co wiąże go z ziemią i skończyć „lekki, wyzwolony na zawsze ze wszystkiego, co jest do czegoś podobne". Indywidualność rozpływa się w masie, wszystko nawet złoto jest zakwestionowane. A mimo tego nihilizmu Lust i uczeń podziwiają Fausta i uważają go za „pochodnię epoki". Faust nie kocha nawet własnego dzieła, żyje z dnia na dzień. Jeżeli Faust nie działa na nas odpychająco i jeżeli mamy dla niego zrozumienie i współczucie, to dlatego, że podziwiamy w nim inteligencję i wyobraźnię poetycką. Valéry uznaje wraz ze swym Faustem, że człowiek jest panem swych czynów i może pustkę życia wypełnić według własnych upodobań. To uznanie wolnej woli i godności osobistej jednostki, silniejszej niż otaczający ją świat, któremu się ma podporządkować, — to jeszcze jeden moytw, który łagodzi nihilizm życiowy Fausta.

PAUL CLAUDEL

Paul Claudel jest kontrastem Paul Valéry. Mamy w dziełach Claudela do czynienia ze skonkretyzowanym światopoglądem życiowym, światopoglądem czysto katolickim. Paul Claudel, liczący dzisiaj 78 lat, (urodził się w 1868) ostatnio mianowany członkiem Akademii, jest najwybitniejszym dramaturgiem katolickim współczesnej Francji. Jego dramaty mają tezę moralną opartą o światopogląd religijny autora. Jednakże osoby tych dramatów żyją własnym życiem, psychicznie dobrze uzasadnionym; walczą one z przeciwnościami i drogą przezwyciężenia swych namiętności dochodzą do równowagi i spokoju wewnętrznego. Autor zachowuje dużą bezstronność w odmalowaniu typów, które nie mogą być mu sympatyczne np. bar. Turelure w „l'Otage" jest tak przedstawiony, że mimo swej ujemnej wartości moralnej wywołuje więcej współczucia niż odrazy Jego bohaterowie to postacie heroiczne, szlachetne, pełne poświęcenia dla innych. Cygne de Coufontaine poświęca się dla kościoła. Żeby ratować Piusa VII, który uciekł z więzienia francuskiego, zgadza się poślubić prefekta cesarskiego Turelure, który zna miejsce pobytu Głowy Kościoła i tylko za cenę ręki Cygne'a zgadza się milczeć.

Pomysł ucieczki Papieża z więzienia napoleońskiego jest oryginalną fikcją Claudela. Rezygnacja Cygne'a nie przychodzi łatwo. musi ona stoczyć walkę wewnętrzną trudną i bolesną. Tym większego znaczenia nabiera jej ofiara.

Violaine w „l'Annonce faite à Marie" to inny typ bohaterstwa, poświęcenia i miłości bliźniego. Claudel umie nie tylko odtworzyć piękno średniowiecza, ale potrafi również psychikę ludzi średniowiecznych uczynić zrozumiałą współczesnemu widzowi drogą odpowiedniego podkreślenia cech ogólnoludzkich bohaterów. Budowniczy katedr Pierre de Craon jest chory na trąd, który w średniowieczu wzbudzał ogólny strach. Violaine chcąc mu okazać współczucie przezwycięża strach i całuje chorego. Pierre wyzdrowiał, Violaine zachorowała. Zachowuje pogodę ducha i szlachetność duszy. Za zło, którego doznaje od siostry, odpłaca miłością. Powyższe sztuki Claudela powstały w okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową. Później nie zaniechał on twórczości dramatycznej. Jego utwory grywane są stale w teatrach francuskich. Ostatnio w r. 1946 grano w Paryżu „Le pére humilié". Inny utwór Claudela „Le Soulier de Satin" przedstawia nam obrazy z przeszłości katolickiej Hiszpanii.

Symbolizm Claudela, wprowadzenie postaci świętych potęguje nastrój mistyczny, właściwy utworom dramatycznym tego autora. Nie wyklucza to bynajmniej realizmu w odtwarzeniu postaci i środowiska, dzięki czemu nastrój podniosły nie wyklucza prawdopodobieństwa. Postaci dzielą się na dwie grupy: te, które nie słuchają głosu Boga i te, które są mu posłuszne. Prawdziwa większość należy do tych ostatnich. Osoby teatru Claudela są jednostkami psychicznie i duchowo dobrze odtworzonymi. Ich rezygnacja i poświęcenie wypływają z wolnej woli. Nie są narzucone przez masę, społeczeństwo, są tworem etyki i woli danego człowieka, który poświęcając się czyni to z pogodą ducha, albowiem czuje swą siłę moralną i wolność. Dobrowolna rezygnacja bohaterów Claudela ze szczęścia, czyni ten akt ofiary jeszcze bardziej wymownym i wzruszającym.

ANDRE GIDE

Teatr Claudela i Valéry to teatr dla publiczności myślącej, zdolnej do rozumienia problemów poruszanych przez autorów. To samo tyczy teatru **André Gide'a**. Dzieło Gide'a określono jako stopniową dechrystianizację i postawienie człowieka jako jedynego obiektu zainteresowań autora. Wolność jednostki jest mu droga ponad wszystko. Od społeczeństwa, od państwa wymaga jednego tylko: by mu pozwolono myśleć i kochać swobodnie. Dramat „Thesée", ogłoszony w 1946 r., jest wymownym świadectwem tych ideałów autora. Zgodnie z tradycjami literackimi Francji forma mitologiczna ma osłonić myśli zawarte w utworze. Tezeusz jest bohaterem, który nie odrzuca żadnego pokarmu (nourriture) ziemskiego, żadnej rozkoszy życia. Jednocześnie jednak pracuje on dla szczęścia całej ludzkości. Tezeusz zdaje sobie sprawę z tego, że największe niebezpieczeństwo dla jednostki to pozostawienie jej samej sobie w bezruchu. Następuje to po osiągnięciu celu, jaki wytknęła sobie dana jednostka. W micie o Tezeuszu najbardziej pociąga autora symbol — labirynt. Drogi, po których porusza się umysł ludzki, są skomplikowane, prawdziwy to labirynt, z którego jednak myśl ludzka zawsze znajdzie wyjście. Myli się głównie serce i zmysły. Dedal, budowniczy labiryntu, przygotował dla każdego, kto wchodzi w ten nieznany świat, rozmaite pułapki w postaci pięknych zapachów, odurzających napojów; wszystko to otacza człowieka złudą i rozkoszą. Nić Ariadny ułatwia człowiekowi wybrnięcie z labiryntu życiowego i myślowego. „Ta nić będzie twym związkiem z przeszłością, wracaj do niej i do siebie samego. Nic nie powstaje z nicości i to czym jesteś obecnie, czym będziesz w przyszłości, opiera się na przeszłości. Oto jakie wskazówki otrzymuje Tezeusz od Dedala. Gide jest przeświadczony, że żadna złuda nie może nabrać stałości. Natomiast wolność jest niezbędnym warunkiem postępu. Tezeusz już jako król Aten robi następujące spostrzeżenie: „Myślałem, że człowiek nie jest wolny że nigdy nie będzie wolny i że nie byłoby dobrze gdyby nim był. Ale nie mogłem pchnąć go (człowieka) naprzód bez jego zgody ani otrzymać tej ostatniej bez pozostawienia ludowi przynajmniej pozoru wolności". Jak zauważył jeden z najwybitniejszych współczesnych krytyków literackich, André Rousseaux, Gide wystawił sobie pomnik pisząc „Tezeusza". Gide często w swych poprzednich dziełach dawał wyraz negacji i oderwania się od rzeczywistości i moralności. Siłą „Tezeusza" jest związane z ziemią, wiara w wolność i postęp jednostki. „Tezeusz" jest odwrotem od negacji moralności oraz ironicznego stosunku do życia. Mamy w nim pozytywne rozwiązanie problemu bytu i sensu człowieka.

SARTRE I EGZYSTENCJALIZM

Z problemem istoty człowieka i ludzkości wiąże się problem egzystencji człowieka. Tym problemem zajmuje się egzystencjalizm. Twórcą kierunku tego tak modnego i szeroko dyskutowanego jest pisarz i filozof w jednej osobie Jean Paul Sartre, autor licznych powieści, rozpraw i dramatów. Tymi ostatnimi zajmiemy się specjalnie. Zasadnicza teza egzystencjalizmu to stwierdzenie faktu, który uważa się za bezsporny, a mianowicie, że istotę człowieka określa jego egzystencja (essence). A więc czyny określają człowieka. Jest on odpowiedzialny za nie tymbardziej, że swym wyborem angażuje całą ludzkość. To, co człowiek wybiera, uważa niewątpliwie za dobre, a więc sugeruje swym wyborem innym drogę postępowania. Mamy więc również pustkę i negację, jako punkt wyjścia bytu jednostki egzystencjalnej. W dramatach stara się Sartre przeprowadzać tę tezę, pełną zresztą niedomówień i sprzeczności, które wywołują zarówno w Europie jak i w Ameryce ożywioną dyskusję na temat egzystencjalizmu. Dramat Sartre'a „Les mouches" sprowadza cały problem do walki wewnętrznej i wyboru człowieka. Jupiter gnębi mieszkańców Argosu wyrzutami sumienia z powodu zamordowania Agamemnona. Erynie (Les mouches) podsycają rozpacz i upokorzenia człowieka. Orestes tłumaczy mieszkańcom Argos, że są oni naprawdę wolni, że nie potrzebują odczuwać żadnych wyrzutów sumienia. To, co zrobili, było ich aktem woli, z której nikomu nie są obowiązani zdawać sprawy. W granym w ubiegłym roku „Les Huis Clos" mamy problem zagadnienia życia i cierpienia. Autor nie wierzy w piekło, ale jako fikcja literacka jest ono dla niego pomocą. Inès Garcio i Estelle żyją w piekle. Te nieszczęśliwe jednostki znają się doskonale, mają wzajemny wstręt do siebie, bo nie mają żadnych tajemnic w stosunkach wzajemnych; nienawidzą się, ale nie mogą przestać być sobą, zmazać swej przeszłości, przerobić własnego ja, które ich przeszłe czyny dokładnie określiły. Piekło polega na tym, że istoty te nie są zdolne do wytworzenia nowej przyszłości. Siła przeszłości jest zbyt potężna, by można było z nią walczyć. Strata wolności i możności zmian, połączona z egzystencją innych istot, które o tej stracie przypominają, — to jest właściwe piekło w koncepcji Sartre'a. Dwa inne dramaty Sartre'a, grane również w roku 1946: „Morts sans sepulture" oraz „La putain respectueuse" studiują człowieka w różnych okolicznościach trudnej egzystencji. W pierwszym chodzi o studium zagadnienia czy człowiek torturowany wyzna wszystko, czy też nie i czy należy zabić człowieka, co do którego przypuszcza się, że na torturach zdradzi innych. Wybór wolny decyduje o fakcie, który złoży się na określenie egzystencji człowieka. Temat dramatu zaczerpnięty z ostatniej wojny powiększa akualność sztuki. W drugim dramacie dziewczyna uliczna decyduje sama, czy wyznać prawdę czy też nie. Od jej wyznania zależy los murzyna podejrzanego o zabójstwo białego. Rzecz dzieje się w Ameryce. Dramat Sartre'a przedstawia więc proces formowania egzystencji ludzkiej w konkretnych przypadkach życiowych. Wybór pozostawiony jest całkowicie uznaniu działających jednostek, niczym nie skrępowanych. Wybór ten bywa nieoczekiwany i w gruncie rzeczy nie zawsze zrozumiały w swych głębszych motywach wobec braku jakichkolwiek dyrektyw działania.

Sartre, Gide, Claudel, Valéry studiują cel i istotę bytu człowieka i ludzkości i odpowiadają na pytania związane z problemem różnie, zależnie od światopoglądu życiowego autora.

JEAN GIRAUDOUX

Jean Giraudoux zajmuje się poszczególnymi fazami życia człowieka i ważniejszymi problemami życia ludzkości. Autor wychodzi ze stanowiska, że czasy, w których dramaturg wybierał sobie temat swobodnie, nie licząc się z niczym, minęły już, dziś temat wybiera sobie autora, narzuca mu się jako konieczność, nad którą ne można przejść do porządku dziennego. Twórczość teatralna Giraudoux, zmarłego w 1944 r., jest ilościowo i jakościowo wielka. Stara się on zrozumieć duszę świata i podtrzymać jej wzniosły ton. Stara się być wyrazem „tego sumienia dźwięcznego, tej rozmowy namiętnej, ale bezinteresownej z prawdami niezmiennymi lub też okolicznościowymi". Jego „Sodome et Gomorrhe", wystawiona w 1943 r. w Paryżu, cieszyła się wielkim powodzeniem. Autor

„Elektry", „Amfitriona 38",„ „Siegfrieda" i innych sztuk jest niezależny od ugrupowań politycznych czy też literackich, wypowiada swobodnie to, co mu nakazuje sumienie. Analiza głęboka i dokładna ważnych problemów życiowych zapewnia Giraudoux ważne miejsce w historii nie tylko teatru, ale i całej cywilizacji współczesnej. Napisana w 1935 roku „La guerre de Troie n'aura pas lieu" porusza problem zawsze aktualny. Hektor i Ulysses, dwaj bohaterowie, żołnierze frontowi nie chcą wojny, rozumieją się wzajemnie, próbują przeszkodzić wojnie trojańskiej. Demagogia polityków, szowinistów, retorów, czyni ją nieuniknioną. Lud, jej ofiara, nie zdaje sobie sprawy z ogromu nieszczęścia, które zbliża się, nie rozumie wysiłków Hektora i Ulyssesa, którzy pragną odsunąć katastrofę, ulega pustej gadaninie, operującej frazesami o godności narodu, honorze państwa, którym nic naprawdę nie zagraża. Chciwość łupu i miraż zdobyczy terytorialnych czy też bogactw otępia do reszty bezkrytyczny tłum. Pośmiertna sztuka Giraudeaux grana w 1946 r. to „La folle de Chaillot". Porusza ona problem zajmujący i aktualny. „Szalona z Chaillot chce uwolnić świat od ludzi złych, zatruwających atmosferę życia współczesnego. Zwabiła ona do podziemi w swym pałacu aferzystów, niebieskie ptaki, demagogów; wpadają oni w pułapkę i nie mogą wyjść na świat. Wzamian za to z podziemi wychodzą dobroczyńcy ludzkości z Pasteurem na czele. Konkluzja sztuki jest następująca: „Wystarczy jedna kobieta rozumna, by szaleństwo świata połamało sobie na niej zęby". Element bajkowo-fantastyczny, sceny liryczne i realistyczne nadają tej sztuce swoisty urok. Najmniej, co można o niej powiedzieć, to to, że jest to szuka nie banalna. Krytyka społeczeństwa współczesnego jest trafna. Niewątpliwie teatr francuski poniósł przez śmierć Giraudoux wielką stratę, trudną do wyrównania.

TEATR PSYCHOLOGICZNY

Spośród przedstawicieli **teatru psychologicznego,** badającego uczucia jednostek i analizującego ich powstanie i rozwój należy wymienić przede wszystkim Jean Anouilh'a, Francois Mauriac'a, Pierre Emmanuel'a i Gabriel Marcela.

Jean Anouilh należy do wybitnych dramaturgów współczesnych. Ten młody stosunkowo człowiek ma już pokaźny dorobek literacki. Jego „Antigone" analizuje subtelnie psychologię kobiety, aczkolwiek obcesja samobójstwa, ciążąca nad bohaterką stwarza przykrą uczuciowo atmosferę. W innych dramatach jak „Le voyageur sans bagages" i „Le sauvage" widzimy nowy aspekt twórczości Anouilh'a. Pierwiastki romantyczne, ponure, łączą się z klasycznym greckim; autor pokazuje nam się jako tragik, ale nie pozbawiony dużej dozy humoru. Teatr Anouilh'a to protest przeciwko wszelkiemu konformizmowi życiowemu, to podkreślenie niezależności własnego „Ja". Ulubione tematy autora to wstręt do brzydoty społeczeństwa, hipokryzja oficjalnej moralności, monotonia i banalność codziennego życia. Jak Diogenes szukał człowieka, tak samo Anouilh szuka istoty godnej naprawdę miana człowieka. Nie znajdując go tworzy sobie własne typy. W „Le Sauvage" skrzypaczka nie chce rzucić swego świata, w którym wzrosła i w którym czuje się na miejscu, mimo jego ujemnych stron, z których całkowicie sobe zdaje sprawę. W „Le voyageur sans bagage" mamy koncepcję człoweka, który odzyskał pamięć i poznaje nędzę moralną rodziny i otaczającego go świata. „Il avait un prisonier" to finansista, skazany we Włoszech na 15 lat więzienia. Po uwolnieniu zrozumiał, że prawdziwe szczęście to poszukiwanie własnego, prawdziwego szczęścia, niezależnie od otaczającego świata i jego praw. Sens teatru Anouilh'a to wstręt do istniejącego świata i poszukiwanie czegoś lepszego, poszukiwanie prawdy. Czy i gdzie ją znajdzie, trudno narazie przewidzieć.

Francois Mauriac znany jest przede wszystkim jako powieściopisarz. W swych utworach scenicznych analizuje uczucia — w pierwszym rzędzie istotę i konsekwencje grzechu. Problem grzechu interesuje ze zrozumiałych względów katolickiego pisarza Francji. Jego dramat „Asmodée" (1937) wywołał duże zainteresowanie. Ostatnio w 1945 roku ogłosił nowy dramat „Les mal aimés" (1945). Egoizm ojca, który dla wygody osobistej chce zachować przy sobie starszą córkę Elżbietę, powoduje intrygę, w której rezultacie Elżbieta nie poślubiła Alain'a, mimo iż oboje się kochają. Poślubiła go młodsza siostra Marianna. Rezultatem tego jest unieszczęśliwienie na całe życie trojga ludzi, co jednak jest obojętne samolubnemu ojcu, jakim jest Virelade. W listopadzie 1946 r. zapowiedział Mauriac w odczycie publicznym, że wycofuje się z teatru, by wrócić całkowicie do powieści.

Gabriel Marcel, egzystencjalista katolicki, przedstawia nam w swych dramatach zajmujące problemy życia współczesnego. Teatr jego to teatr filozofa, teatr tajemnicy życiowej. Problemy poruszane na scenie przeżywa autor wewnętrznie, sumienie własne jest dla niego głównym punktem oparcia dla analizy ludzi i świata. Jego sztuki „Un homme de Dieu" czy też „Le dard" są dowodem głębokiego przemyślenia czy to zjawisk indywidualnych, czy też politycznych. Te ostatnie porusza „Le dard" (1936), przedstawiając konflikt między faszyzmem a komunizmem.

Brak miejsca nie pozwala omówić dokładniej dramatu młodego poety katolickiego Pierre Emmanuel'a, który w „Le lepreux" oświetla konflikt między uczuciami rodzinnymi, a religijnymi.

Również bogata produkcja komediowa musi być pominięta. W tej dziedzinie należy wymienić choćby tylko Marcel Achard. Jego ostatnia komedia (1946) „Auprès de ma blonde" wywołała duże zainteresowanie publiczności. Zasadniczo jednak komedia nie wnosi niczego nowego w ostatnich czasach. Teatr Jules Romains i Romain Rollanda jak również Marcel Pagnol'a, Jean Cocteau, J. B. Blocha, Armanda Salacrou należy do trwałych zdobyczy literatury francuskiej. Również musi być pominięta twórczość zupełnie nowych talentów, jak: Louis Ducreux („Un souvenir d'Italie" 1946), Marcel Olivier („David et Betsabée" 1946), Suzanne Litar i wielu innych.

Konkludując możemy stwierdzić, że teatr francuski idzie własnymi drogami, poszukuje coraz nowych tematów, stara się znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytania interesujące współczesną ludzkość. Łączy on w sobie najważniejsze elementy literackie i teatralne. Jest czasem romantyczny, czasem symboliczny, czasem znowu nauralistyczny; reprezentuje tragedię i komedię; tematy czerpie zarówno z historii jak i z życia współczesnego. Indywidualność autora prawie zawsze wywiera silny wpływ na jego dzieło. Równowaga między rozmaitymi problemami i formami nie pozwala przewidywać, czy i jaki kierunek wybije się w najbliższej przyszłości na pierwszy plan.

Kalikst Morawski.

PAUL VALERY

MÓJ FAUST

(SZKICE*)

(Faust żyje w naszych czasach. Zajmuje się dyktowaniem pamiętników swej sekretarce pannie Lust. Mefistofeles odwiedza Fausta i wywiązuje się między nimi charakterystyczna rozmowa, będąca obrazem negatywno-ironicznego stosunku Fausta do wszystkich zagadnień życia i świata).

AKT I — SCENA II

F.: — Posłuchaj. Nie mogę Ci ukrywać, że nie zajmujesz już w świecie tego stanowiska, które zajmowałeś niegdyś.

M.: — Myślisz?

F.: — Zapewniam Cię. Oh, nie mówię o twych obrotach handlowych, ani nawet o czystych zyskach. Ale kredyt, poważanie, zaszczyty . . .

M.: — Być może, być może.

F.: — Nie wzbudzasz zupełnie strachu. Piekło ukazuje się dopiero w ostatnim akcie. Nie nawiedzasz już umysłów ludzi naszych czasów. Istnieją wprawdzie małe grupy amatorów i ludzi zacofanych. Ale Twoje metody są przestarzałe, Twój wygląd fizyczny śmieszny.

M.: — I pewno uroiłeś sobie, żeby mnie odmłodzić.

F.: — Dlaczego nie? Na każdego kolej.

M.: — Kusicielu!

F.: — Chciałbym przede wszystkim zabawić Cię trochę. Jest to sposób, jaki wynalazłem, ażeby zabawić trochę samego siebie. Zamienimy naszą władzę.

M.: — To mi odpowiada. Ty ośmielasz się mniemać, że ja mógłbym potrzebować Ciebie?

F.: — Wiem co mówię. Tkwisz w Wieczności, mój Diable, i jesteś tylko duchem. Nie masz więc zupełnie myśli. Nie umiesz ani wątpić ani szukać. W istocie jesteś niesłychanie prosty. Prosty jak tygrys, który jes wszechpotęgą łupu, a sprowadza się cały do instynktu morderstwa. Zawdzięcza wszystko baranom i kozom: swoje muskuły i pazury, swoje podstępy i swoją olbrzymią cierpliwość. Nie ma w Tobie niczego więcej, pożeraczu dusz, który nie umie rozsmakować się w tych duszach. Nie domyślasz się nawet, że na świecie istnieje coś więcej niż dobro i zło. Nie tłumaczę Ci tego, nie jesteś zdolny zrozumieć mnie. Mówię Ci tylko, że możesz potrzebować kogoś, kto by myślał i rozważał za Ciebie. Czysty umysł, nawet nieczysty, nie jest do tego zdolny.

M.: — Nigdy do mnie nie przemawiano tym tonem. Przynajmniej od dawna. Mówisz, że jestem niezdolny do myślenia, ja, który przenikam wasze myśli.

M.: — Nie. Poruszasz się jak piorun po najkrótszych drogach natury ludzkiej. Są to drogi zła.

M.: — To wszystko należy zobaczyć. Jesteś dziwną osobą. Mało znałem takich, którzy umieliby, mogliby, chcieliby tak jak ty stanąć poza nawiasem. Przeszły mi całe miliardy dusz przez szpony i czy się wydostały, czy też w nich pozostały zauważyłem jak mała liczba z tej ogromnej liczby były to istoty nie mające sobie równych. Widziałem dziesiątki tysięcy Cezarów, tak błyszczących jak Juliusz, widziałem pod dostatkiem Sofoklesów, Archimedesów, Platonów, Konfucjuszów, Praksytelesów. Nie mówię już o pięknościach, które uważały się za bezkonkurencyjne, o wirtuozach pierwszorzędnej wielkości, o anachoretach skrajnych, o wszystkich fabrykantach rzeczy wzniosłych. Żebyś wiedział jak to jest zabawne i komiczne obserwować masę istot jedynych w swym rodzaju, zlepionych razem jak pszczoły. Jest to mój piękny rzut oka. Każdy uważał się za jedynego w swym rodzaju i robił bez wątpienia to, czego trzeba było, ażeby nie mieć nikogo podobnego talentami, wdziękiem, gwałtownością lub głębią. Wystarczy mi tam na dole zestawić geniusz z geniuszem tego samego rodzaju, ażeby wprawić i utrzymać w wiecznej rozpaczy tych wszystkich zarozumialców w wielkim stylu. Są wśród nich tacy jak diament, którego cały blask dla was byłby blaskiem szkła, jeżeli by tym przepalonym węglem brukowano ulice albo gdybyście znali, tak jak ja wnętrza starych wulkanów. I gdyby znano nadmiar tego co jest najrzadsze, oraz ilość ludzi pierwszorzędnych na przestrzeni tysiąca wieków, wówczas diament dumy spadłby do zera. Ale Ty, Ty mnie interesujesz. Twój wypadek jest być może całkiem szczególny.

F.: — Oddycham.

M.: — Tak. Ani niebo, ani piekło nie mogły Ciebie zatrzymać. Można by powiedzieć, że wyrzuciłeś z siebie bez różnicy zarówno miód ich obietnic jak i gorycz ich gróźb. Dzięki temu jest możliwe, że mnie zdumiewasz, rzecz bardzo zadziwiająca.

F.: — A więc dobrze. Zawrzyjmy pakt.

M.: — Ale Ty mi nic nie powiedziałeś.

F.: — Posłuchaj, chcę stworzyć wielką rzecz, a mianowicie książkę.

M.: — Ty? Czyż nie wystarcza Ci, że sam jesteś książką?

F.: — Mam swe powody. Byłaby to intymna mieszanina mych prawdziwych i fałszywych wspomnień, mych idei, mych przewidywań, hipotez, dobrze przeprowadzonych dedukcji, doświadczeń urojonych — wszystko zaś różne głosy mojego Ja. Można je przyjąć z jednego punktu widzenia, lub odrzucić z innego.

M.: — To nie jest zbyt nowe. Każdy czytelnik bierze to zadanie na siebie.

F.: — Być może nikt nie przeczyta tej książki, ale ten, kto by ją przeczytał, nie mógłby już czytać innej.

M.: — Umrze z nudów.

F.: — Cicho bądź. Chciałbym, ażeby to dzieło było napisane stylem mojego wynalazku, który pozwoli przechodzić cudownie od dziwaczności do pospolitości, od bezwzględnej fantazji do najskrajniejszej dokładności, od najbardziej płaskiej prawdy do ideałów najbardziej . . . najbardziej kruchych.

M.: — Nie znam innych.

F.: — Styl nakoniec, który obejmuje wszystkie modulacje duszy i wszystkie wyżyny umysłu, który tak jak umysł cofa czasem to, co wyraża, ażeby odczuć to, co wyraża i który daje się poznać jako wola wyrazu, jako żyjące ciało tego, który mówi, jako zbudzenie się myśli, która nagle dziwi się, że mogła przez jakiś czas zlać się z jakimkolwiek przedmiotem, chociaż to połączenie właśnie jest jej istotą i rolą.

M.: — Ho! Ho! widać, że obcowałeś ze mną. Ten styl wydaje mi się całkiem mefistofelowski, Panie Autorze. Słowem styl to diabeł.

F.: — Najwięksi twórcy dali mi przykład zapożyczeń.

M.: — Na widły! potwierdzam to. Jeżeli zdarza się, że jakaś piękna kobieta ukradnie klejnoty zamożnej i brzydkiej kobiecie, widzę w tym tylko naprawę nieporządku i słuszne przywrócenie harmonii, i ze swej strony pomagam jak najbardziej tej sprawiedliwości. Jest słuszne i godne, ażeby piękna istota była możliwie najbardziej piękna i żeby brzydka nie urągała dekretowi, który zrobił z niej godny ubolewania obiekt, od którego ucieka nawet spojrzenie.

F.: — Mam więc w głowie to wielkie dzieło, które powinno uwolnić mnie ostatecznie ode mnie samego, od którego jestem już i tak oderwany. Chcę skończyć lekki, uwolniony na zawsze od wszystkiego, co podobne jest do czegoś. I odejść w swoim kierunku lub w kierunku swych dawnych kolegów jak podróżny, który rzucił swój bagaż i idzie na oślep nie troszcząc się o to, co zostawia za sobą.

M.: — A więc chcesz skończyć jak literat, jak zwykły zdobywca. Trudno jest dzierżyć pióro. Czyż ja na przykład piszę?

F.: — Oto, od czego właśnie moje wielkie dzieło ma uwolnić mnie wreszcie.

M.: — Czyż bierzesz mnie za winietę na końcu rozdziału?

F.: — Patrz! Świetny pomysł. Ale nie. Potrzebuję Lust i Ciebie. Poprowadzę was oboje przy pomocy mej potęgi poprzez rozmaite miejsca świata, gdzie chciałbym zobaczyć klasycznego demona, którym ty jesteś. Nie ukrywam Ci, że wydajesz się bardzo niemodnym. Zdaje się, że nie pojmujesz przeraźliwej nowości tej epoki.

M.: — Człowiek jest ciągle ten sam i ja również. Obstaję przy tym.

F.: — Tkwisz w błędzie historycznym. Aż dotąd środki umysłu ludzkiego były tak słabe, że dotykał on tylko powierzchni problemów i dobierał się z trudem do substancji życia. Największy monarcha mógł tylko zabijać i budować. Sądzono, że to wszystko, co przewyższa te możliwości tak ograniczone, należy do rzędu zjawisk nadprzyrodzonych. Magia żyła z tej wiary. Coś o tym wiesz, dostojny Mefistofelesie! Powinieneś o tym wiedzieć tym lepiej, że sam jesteś tworem tradycji.

M.: — Po winietce, bierzesz mnie za mit.

F.: — Biorę Cię za to, czym się stajesz.

M.: — A jednocześnie żądasz ode mnie przysługi, człowieku! Wszyscy są tacy sami, jeżeli nie zawsze tacy sami.

F.: — A ja mówię, że chcę ci służyć, najpierw jednak chcę, żebyś zrozumiał jak twoja własna sytuacja jest poważnie zainteresowana tą niesłychaną zmianą, o której mówię. Człowiek pozbywa się z dnia na dzień swego „zawsze tego samego człowieka", którego obrabiasz od nieszczęsnego Adama począwszy. Poświęciłeś się zwodzeniu i gubieniu na przestrzeni pokoleń tego samego starego typu stworzenia i uprawiasz twoje rzemiosło . . .

M.: — Przepraszam, sztukę.

F.: — Twoją sztukę według rutyny, która jak dotąd była dość szczęśliwa. Stosujesz zupełnie elementarną wiedzę o sercu, o prostocie całkiem anielskiej, ilustrowaną

(Dokończenie na str. 9-ej)

*) Paryż 1946, Gallimard.

ALEKSANDER KOSSOWSKI

Zarys rozwoju stosunków wyznaniowych na Ziemiach Odzyskanych

Zagadnienia wyznaniowe są zawsze i wszędzie żywotne i aktualne. Przeżycia religijne wyciskają niezatarte piętno na psychice, zarówno poszczególnych jednostek jak grup społecznych i narodowych. Świat wewnętrzny każdego z nas nie stanowi naszej wyłącznej własności indywidualnej. Wierzenia wyznawane przez przygniatającą większość ludności wzmacniają zwartość i spoistość narodu. Wszelkie natomiast prądy przeciwkatolickie (protestanckie, sekciarskie, prawosławne) na ziemiach polskich wyzwalają siły odśrodkowe, destrukcyjne, osłabiają poczucie wspólnoty narodowej.

Rozważania powyższe można zastosować do naszych Ziem Zachodnich Odzyskanych: Prus, Pomorza Zachodniego i Śląska.

Proces chrystianizacji tych obszarów nie wszędzie miał jednakowy przebieg i tempo. Wybrzeża Bałtyku, bardziej niż Śląsk oddalone od ognisk cywilizacji chrześcijańskiej, później stały się terenem ożywionej akcji misyjnej. Krzyżakom w ich wyprawach nie chodziło wcale o zwalczenie pogaństwa. Prusowie ochrzczeni nie mieli dostępu do kościołów we wsiach niemieckich. Wobec braku księży posiadających znajomość języka pruskiego posiłkowano się przy spowiedzi tłumaczami. Nie można się więc dziwić, że bałwochwalstwo w Prusiech długo się trzymało.

Legat apostolski Wilhelm z Modeny przeprowadził w Anagri 4 lipca 1423 r. podział ziemi pruskiej na trzy diecezje. Powstały biskupstwa: sambijskie, warmińskie i pomezańskie. Biskupi warmińscy od XIV w. posiadali tytuł książęcy.

Fale rewolucji religijnej XIV w. dotarły już wkrótce po wystąpieniu Lutra i do ziem polskich. Postępom protestantyzacji obszarów nadbałtyckich sprzyjała łączność gospodarcza a przede wszystkim wspólnota etniczna z ludnością Rzeszy Niemieckiej.

Ks. pruski Albrecht Hohenzollern po sekularyzacji Prus rozwinął energiczną akcję protestancką, udzielał pomocy materialnej i opieki różnowiercom polskim, gościł ich u siebie w Królewcu, kolportował druki protestanckie. Wspierali go biskupi sambijski Polentz i pomezański Speratus. Otoczył Albrecht opieką Andrzeja Osiandra z Norymbergi, który w poglądach swoich odchylił się od doktryny Lutra.

Gorliwie zwalczał nowinki religijne Stanisław Hozjusz, od 1551 roku biskup warmiński. Najwięcej trosk i kłopotów przysparzał mu Elbląg. Już w roku 1523 wzbroniono tamtejszym dominikanom wygłaszania kazań i dzwonienia na nocne pacierze. Rozruchy w 1525 roku wzniecił w Elblągu przybyły z Gdańska exkarmelita żonaty Maciej Binnewald, sam Hozjusz miał ciężkie przeprawy z Piotrem Ersomem, kaznodzieją przy kościele N. M. P.

Ukazują się w Elblągu kolejno: Walenty Larceviusz, Jan Hoppe. Wprowadzono luteranizm i w innych miastach, m. in. w Braniewie.

Sprowadził Hozjusz do Warmii jezuitów. Dnia 30 października i w pierwszych dniach listopada 1564 roku stawiło się w Lidzbarku, rezydencji biskupów warmińskich jedenastu jezuitów różnej narodowości. W Braniewie powstało kolegium jezuickie. Odbywali tam studia uczniowie z różnych krajów m. in. ze Szwecji, Norwegii, Rusi Moskiewskiej. Warmia nie odstąpiła od jedności z Rzymem. Zawdzięczała to przede wszystkim jezuitom.

Z chwilą przejścia elektora Jana Zygmunta na kalwinizm, któremu hołdowali również jego następcy, rozwarła się przepaść pomiędzy książętami — kalwinami, a ludnością luterską. Liczba kalwinów w Prusiech bardzo wzrosła na skutek akcji kolonizacyjnej prowadzonej przez Wielkiego Elektora Fryderyka Wilhelma i Fryderyka II.

Po wypędzeniu z Polski, na mocy uchwał sejmowych z lat 1658—1659, przeciwników dogmatu Trójcy Św., czyli tzw. „Braci Polskich", nieliczni stosunkowo z nich pozostali w kraju. Niezłomni arianie polscy udali się do Siedmiogrodu, na Śląsk, wreszcie do Prus Królewskich. Zamieszkali tam we wsiach Kąsinowie, ok. Ełku i Rudawkach. Członkowie Zboru ariańskiego w Kąsinowie powzięli w 1811 roku uchwałę o jego rozwiązaniu.

Poczynając od Hozjusza aż do roku 1795 biskupami warmińskimi, z wyjątkiem Węgra Andrzeja Batorego, byli Polacy. Po Ignacym Krasickim na stolicy biskupiej siedzieli dwaj Hohenzollernowie: hr. Karol (1795—1803) i ks. Józef (1808—1836).

Biskup warmiński Andrzej Chryzostom Załuski (1698—1711) używał wszelkich dostępnych mu wpływów i środków, by wesprzeć księcia pruskiego Fryderyka w jego zabiegach o koronę królewską. W tymże kierunku agitowali dwaj jezuici: Wolff, a zwłaszcza Karol Maurycy Vata, Sabaudczyk, spowiednik królów Sobieskiego i Augusta II.

Odważnie się postawił wobec króla pruskiego biskup warmiński Teodor Potocki (1711—1723). Zabronił księżom w Prusiech Książęcych wymieniać króla pruskiego i jego rodzinę w modlitwie kościelnej.

Proces chrystianizacji Pomorza Zachodniego i dalszy rozwój życia religijnego w tym kraju barwnie odtwarza Józef Miłkowski w ciekawej pracy: „Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski" Poznań 1946 r.

Ośrodkami kultu pogańskiego na Pomorzu Zachodnim były Szczecin i Wołyń. Wśród Słowian tamtejszych olbrzymi wpływ na lud wywierali kapłani. Za-

Kropielniczka z Urzędowa
(Patrz artykuł na str. 10-ej)

biegom misyjnym bałwochwalcy pomorscy stawiali gwałtowny opór. Niemcy wraz z krzyżem mieśli miecz, z Ewangelią podbój, niewolę, wytępienie pokojowej ludności. Inną całkiem była romańsko-słowiańska metoda nawracania. Ośrodkiem akcji był zapewne Poznań — Gdańsk stanowił dla św. Wojciecha placówkę wypadową.

W skład założonej w 1000 r. metropolii w Gnieźnie wchodziły biskupstwa krakowskie, wrocławskie i kołobrzeskie, czyli pomorskie.

Ze szczególnym poświęceniem i gorliwością pracowali na niwie mi yjnej benedyktyni - eremici. Koło Międzyrzecza nad Odrą w późniejszym Wojciechowie powstaje klasztorek benedyktyński oraz seminarium kształcące misjonarzy.

Postępom Ewangelii cios dotkliwy zadała wojna ces. Henryka II z Bolesławem Chrobrym. Gorzkie wyrzuty Henrykowi czynił św. Bruno, krewny i przyjaciel ces. Ottona III, wielbiciel św. Wojciecha. Akcję misyjną na szeroką skalę podjął Bolesław Krzywousty, posługując się przede wszystkim benedyktynami. Stolicę biskupstwa przeniesiono do Lubusza nad środkową Odrą.

Ówczesne zaborcze dążenia niemieckie najlepiej ujawnia w 1107 roku arcybiskup magdeburski Adelgut, w zwróconych do Sasów słowach: „Ci poganie są najgorsi ludzie na ziemi, ale ziemia ich za to najlepsza, bo tak obfituje w mięso, miód, mąkę, ptactwo, że żadna ziemia z nią nie może się równać. O Sasi, poskromiciele świata, tu możecie i dusze wasze zbawić i najlepszą pozyskać ziemię do zamieszkiwania".

W 1124 r. wyruszyła wyprawa misyjna pod kierownictwem Ottona, biskupa bamberskiego. Mitkowski w swej pracy o Pomorzu Zachodnim stwierdza stopniowe przesuwanie się chrześcijaństwa z południa na północ i obala błędne mniemanie o niemieckich źródłach polskiej kultury chrześcijańskiej. Podczas drugiej krucjaty arcybiskup magdeburski i książęta sascy zainicjowali wyprawę przeciwko pogańskim Słowianom. Do uczestników wyprawy pod Szczecinem wyszedł biskup Wojciech, okazując zdumienie, że nadeszło do kraju chrześcijańskiego zbrojne wojsko zamiast misjonarzy.

Dominikanie już wkrótce po założeniu zakonu kaznodziejskiego rozwinęli energiczną działalność misyjną na Rusi. Jest rzeczą bardzo znamienną, że równocześnie w dwóch tak odległych od siebie krajach prowadzona jest z dużym rozmachem akcja misyjna. Przedział wyznaniowy pomiędzy protestanckim od 1534 r. Pomorzem Zachodnim a katolicką Polską coraz bardziej się pogłębiał, zacieśniał więzy religijne i kulturalne ludności pomorskiej z Niemcami a oddalał i odstręczał ją od Polski. Nowy ruch wspierali książęta pomorscy Barmin IX i Filip I. Jedynie lud zachował wierność Kościołowi Katolickiemu. Zwolennicy idei protestanckich rekrutowali się z warstw niemieckich lub zniemczonych.

Na naszych Ziemiach Odzyskanych nigdzie różnorodne prądy religijne i kulturalne nie znajdowały tak podatnego dla swego rozwoju gruntu jak na Śląsku. Ewangelię głoszono tam zapewne jeszcze przed zajęciem tego kraju przez Mieszka I w r. 990, tj. w okresie rządów czeskich a, być może, nawet wielkomorawskich. Rozpowszechniony był na Śląsku kult św. Wojciecha. W pracy misyjnej przodowali eremici włoscy i benedyktyni irlandcy. Podług Długosza, pierwszymi biskupami wrocławskimi byli Włosi o wysokiej kulturze. Z Włoch sprowadzono duszpasterzy i księgi. Zwalczanie bałwochwalstwa godziło zarazem i w związany nierozerwalnie z nim separatyzm plemienny. Kult pogański długo i uporczywie się trzymał jeszcze w ciągu XI w. Wpływy włoskie na Śląsku ustępują miejsca leodyjskim i kolońskim. Ożywione są u schyłku XI i w początkach XII w. stosunki kulturalne Polski z Francją i Flandrią.

Około r. 1173 powstał w Lubiążu klasztor sprowadzonych przez księcia Bolesława Wysokiego cystersów niemieckich. Wybitną rolę w rozwoju kulturalnym Śląska odegrał biskup Walter (1149—1169), wychowany w szkole Anselma z Laona. Wpływy kulturalne francuskie osiągnęły punkt szczytowy. Okres świetnego rozwoju kultury religijnej na Śląsku zbiega się z rządami w diecezji biskupa Nankera h. Okszta (1326—1341), zwolennika Łokietka. Od XIII w. docierają do Śląska prześladowane przez Kościół Katolicki ruchy religijne i sekty. Z sąsiednich Moraw i Czech ciągnęły na Śląsk ok. r. 1261, w atmosferze trwogi i przerażenia po groźnym napadzie Tatarów, liczne grupy biczowników. Druga fala ich nawiedziła Śląsk w 1349 r. Były to czasy srożącej się w Europie dżumy. W latach 1315—1319 ujawniono w różnych miastach śląskich waldensów. Licznych heretyków spalono na stosie w r. 1315 we Wrocławiu, Nyssie, Świdnicy i innych miastach śląskich. Celem stłumienia ruchu bullą z dn. 1 maja 1318 r. ustanowił papież Jan XXII czterech inkwizytorów. Generalny inkwizytor Jan z Schwenkenfelda, dominikanin świdnicki, poniósł śmierć męczeńską 28 września 1341 r. Rozwinęły swą działalność, poczynając od drugiej połowy XIII w. beginki we Wrocławiu, Świdnicy i, być może, w Nyssie. Wiadomości o beginkach w Głogowie pochodzą z pierwszej połowy XV w. Szerzyli swe nauki na Śląsku już w początkach XIV w. tzw. „bracia wolnego ducha". Przedostali się na Śląsk również husyci, mordowali kapłanów, łupili i palili kościoły i klasztory.

Pomyślny rozwój luteranizmu na Śląsku łączy się ściśle z postępami niemczyzny. Już w niespełna rok po wystąpieniu Lutra tłoczono jego pisma w drukarni wrocławskiej Adama Dvona, później zaś Kaspra Lybischo. Najgorsze czasy dla katolicyzmu na Śląsku nastały za rządów biskupa Baltazara Promnica (1539—1562), który jawnie sprzyjał nowinkom religijnym. W myśl twardej okrutnej zasady „cuius regio, illius religio" *) kult protestancki wprowadzały w miastach Rady Miejskie. Krajem protestanckim stał się wkrótce niemal cały Śląsk Dolny. W połowie XVI w. wszyscy książęta śląscy, z wyjątkiem biskupa wrocławskiego, zerwali z Kościołem Katolickim.

Habsburgowie, po objęciu Śląska w swe posiadanie, z użyciem środków gwałtownych narzucali katolicyzm. Zmuszano do wyrzeczenia się protestantyzmu przez osadzanie po domach różnowierców oddziałów dragonów. Wyłączono ze stosowania tej metody nawracania takie ośrodki protestantyzmu jak Wrocław, Legnica, Brzeg, Wołów, Oleśnica. W okresie wojny trzydziestoletniej różnowiercy śląscy przeważnie witali najeźdźców jako wybawicieli. W terenach zajętych przez wojska cesarskie odebrano 656 świątyń protestanckich. Większość pastorów wyemigrowała ze Śląska. Ruch sekciarski, obejmując duży zasięg terytorialny sprzęga czasem tak odległe od siebie kraje, jak Śląsk i Moskwa. Quirinus Kullmann ur. 1651 r. we Wrocławiu, zwiedził Francję i Niderlandy. Nawiązał kontakt z „Braćmi Polskimi" w tych krajach, a być może i na Śląsku i przejął częściowo ich ideologię. Propagował ją w Moskwie oraz szerzył jakieś proroctwa. Spalono go w stolicy carów na stosie w 1689 r. Po zawarciu umowy altranstadzkiej w 1707 r. zwrócono protestantom 121 zborów. Napór niemiecko-protestancki na Śląsk wzmógł się z chwilą opanowania tego kraju przez Fryderyka II. Ze względu na to, że jezuici w latach 1761—1763 jak również w ogóle w czasie wojny siedmioletniej solidaryzowali się z Austrią, zamierzał Fryderyk II wygnać ich. Po kasacie zakonu jezuitów nie liczył się jednak z bullą papieską, zatrzymał ich u siebie, był bowiem przekonany, że jedynie jezuici mogą podnieść poziom szkół śląskich, znajdujących się w całkowitym upadku. Dotkliwe ciosy zadał katolicyzmowi i polskości na terenach Rzeszy Niemieckiej Bismarck. Zniósł w 1871 r. oddział katolicki przy pruskim ministerstwie wyznań, w 1872 r. pozbawił duchowieństwo prawa opieki nad szkołami.

Katolicyzm na ziemiach naszych w ogóle, a zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych wspierał ludność w jej walce o utrzymanie ducha narodowego i na tym m. in. polega jego wielka rola dziejowa.

Aleksander Kossowski

---

*) Czyj kraj, tego religia.

KAROL CAPEK (CZAPEK)

REKORD

(Nowela ze zbioru: „Opowiadania z jednej kieszeni"*)

— Panie sędzio — rzekł policjant Hejda do sędziego Tuczki — zgłaszam ciężkie uszkodzenie ciała.

— O, do diabła, ale gorąco dzisiaj!

— Niechże pan rozepnie kołnierz — doradził dobrotliwie sędzia.

Hejda postawił w kącie karabin, rzucił na ziemię czapkę, zdjął płaszcz i rozpiął kołnierz.

— Uf — odetchnął z ulgą. — O, panie sędzio, takiego wypadku nigdy dotąd nie miałem. Proszę, niech pan spojrzy! — Po tych słowach podniósł z ziemi jakiś dziwny przedmiot owinięty niebieską chustką, który uprzednio położył pod drzwiami, rozmotał węzełki i wydobył kamień wielkości ludzkiej głowy. — iNech pan spojrzy — powtórzył.

— Co to jest? — zapytał sędzia stukając ołówkiem w dziwaczny kamień. — Ach tak — kamień, nie?

— Kamień — i to nie byle jaki — potwierdził Hejda. — Posłusznie melduję panie sędzio: Lisicki Wacław, robotnik cegielni, lat dziewiętnaście, miejsce zamieszkania — cegielnia, czy pan to już zapisał? Wyrżnął względnie ugodził tym oto załączonym kamieniem, waga pięć kilogramów dziewięćset czterdzieści dziewięć gramów, Pudila Franciszka, sklepikarza, Dolny Zjazd numer 14, już pan to ma? w lewe ramię, czym spowodował złamanie wyrostka kruczego i kości strzałkowej, ranę ciętą skóry i mięśnia, i zmiażdżenie tętnicy, powodując silny upływ krwi, już pan to ma?

— Mam — powiedział sędzia — ale cóż w tym jest niezwykłego?

— O zdziwi się pan, gdy wszystko powiem po kolei! — odparł Hejda z powagą. — Trzy dni temu zawezwał mnie do siebie tenże Pudil. Pan go zna — prawda?

— Znam — rzekł sędzia. — Mieliśmy go tu już raz za lichwę, a drugi raz — hm —

— To było za uprawianie hazardowej gry w karty. Wie pan, przecież, że to kawał drania. Ale on ma poza tym czereśniowy sad, ciągnący się wzdłuż rzeki. Sadzawa zakręca tam właśnie i dlatego brzeg jest w tym miejscu szeroki. Więc tenże Pudil przysłał do mnie rano z wiadomością, że mu się coś złego wydarzyło. No więc poszedłem — zastałem go w łóżku: klął na czym świat stoi. Podobno poszedł sobie poprzedniego wieczoru do sadu i przyłapał jakiegoś łobuziaka, który siedział na drzewie i zrywał czereśnie — miał podobno wypchane obie kieszenie. Pan wie: Pudil jest raptus. Odpiął pasa, ściągnął chłopaka za nogę z drzewa i walił co wlezie. A tu nagle ktoś zawołał z drugiego brzegu: „Pudil niech go pan nie bije!". Pudil trochę niedowidzi, to pewnie z tego pijaństwa; zobaczył jak przez mgłę, że ktoś stoi na brzegu i odkrzyknął: „Co cię to draniu obchodzi?" i dalej walił pasem. „Pudil!" wrzasnął ten ktoś na brzegu „puści pan chłopca — czy nie?!". Pudil pomyślał sobie: „Co ty mi możesz zrobić — za daleko jesteś" i dlatego krzyknął: „Mam cię gdzieś!". Ledwie to powiedział, a już leżał ze strzaskaną łapą, a ten człowiek na brzegu zawołał: „Dobrze ci tak bydlaku!". Pudil nie mógł nawet wstać. Musieli go znieść na noszach: a obok niego leżał ten oto kamień. Jeszcze w nocy pojechali po lekarza. Przybył lekarz i natychmiast kazał go odesłać do szpitala, ale Pudil — stary kutwa, teraz o żniwach do szpitala iść nie chce. No i zaraz rano po mnie przysłał, że tego draba, tego zbója, co mu tę biedę zrobił, muszę aresztować.

Niechże pan słucha dalej: kiedy mi ten kamień pokazali pomyślałem, że pewnie waży sześć kilo. Omyliłem się o 50 gramów. To jest oko — co? Panie, takim kamieniem trzeba umieć rzucać. Poszedłem zobaczyć miejsce wypadku. Tam, gdzie Pudil upadł trawa była stłamszona — od tego miejsca jest jeszcze dwa metry do rzeki — a rzeka jest tam co najmniej szerokości 14 metrów, bo tam właśnie zakręca. Kazałem sobie przynieść 18 metrów sznurka. Potem wbiłem kołek w miejsce, gdzie upadł Pudil, przywiązałem sznurek do kołka, rozebrałem się a z drugim końcem sznurka, buch do wody! No i niech pan pomyśli, panie sędzio, sznurek wystarczał akurat na całą szerokość aż do drugiego brzegu. Mierzyłem trzy razy: 19 metrów i 27 centymetrów!

— Człowieku! — zawołał sędzia. — To niemożliwe! 19 metrów to nie byle co! Słuchaj Hejda, ten człowiek stał chyba w wodzie — w środku rzeki?!

— I ja tak myślałem — odparł Hejda. — Ale w środku rzeki jest głębokość ponad 2 metry. Ten człowiek nie mógłby stać na dnie. To znaczy, że kamień rzucił na odległość pełnych 19 metrów i 27 centymetrów. Czy pan wie co to znaczy?

— Hym! Musi to być praktyk nie byle jaki! — zauważył niepewnie sędzia.

Hejda spojrzał na niego z politowaniem.

— Panie sędzio, pan chyba nigdy nie rzucał kamieniami. Ja się z tym głazem mordowałem dwa dni. I tak i siak! Nic! Czy pan wie, co to znaczy? To jest światowy rekord. Tak!

— Ale, co też pan plecie! — oburzył się sędzia.

— Światowy rekord! — powtórzył dobitnie policjant.

— Przepisowy ciężar kuli używanej w zawodach sportowych wynosi 7 kilogramów, a tegoroczny rekord w rzucie kulą jest 16 metrów i ani milimetra więcej. W ciągu 19 lat rekord wynosił 15,5 metra. A teraz Dmerykanin John Davis osiągnął 16! A my tu mamy o ileż więcej? Niech pan pomyśli ile osiągnąłby ten nasz drab przepisową kulą, jeśli bez treningu łupnął 6-kilowym głazem na odległość 19 metrów. Bez treningu! Panie sędzio, ja jestem stary praktyk! Kiedy byłem w rosyjskiej niewoli na Syberii, to ciągle tylko wołali koledzy: Hejda, pokaż jak się rzuca! — Granat ręczny, wie pan? a we Władywostoku to urządziłem zawody z amerykańskimi marynarzami; osiągnąłem przepisową kulą 14 metrów, ale ich kapelan rzucił o 4 centymetry dalej, niż ja. Psiakrew? Myśmy tam nie zasypywali gruszek w popiele! Ale ten przeklęty kamień rzuciłem na odległość 15,5 metra; więcej nie dałem rady. 19 metrów! do starego diabła! powiedziałem sobie. Tego chłopa muszę dostać: ten pokaże co umie! Rekord! Osiągniemy rekord! Niech pan sobie wyobrazi; tak — trzask prask i odbierzemy rekord Ameryce!

— A co ten Pudil? — zapytał sędzia.

— Do diabła z nim! — krzyknął Hejda. — Panie sędzio, pozwoliłem sobie na własną rękę zarządzić wyśledzenie nieznanego sportowca, który osiągnął światowy rekord w rzucie kulą. To jest sprawa wagi państwowej. No nie? I ogłosiłem, że jeśli się zgłosi — nie będzie za tego Pudila ukarany.

— No, no — zaprotestował sędzia.

— Pan pozwoli, panie sędzo; obiecałem, że nie będzie karany, jeśli istotnie rzuci kamień 6-kilowy na drugi brzeg Sadzawy Wszystkim sołtysom okolicznych wiosek wytłumaczyłem, jaki to jest wspaniały wyczyn i że będą o nim pisali na całym świecie. I powiedziałem jeszcze, że ten drab może dzięki temu zarobić górę złota. Chryste Panie! Od tej chwili wszyscy chłopcy z całej okolicy zaniechali żniw — przypędzili do zakrętu rzeki i rzucają kamieniami na drugi brzeg. Kamienna grobla nie istnieje! Rozebrali ją do szczętu. Wzięli się teraz do kamiennych płotów i przydrożnych słupków, bo już nie mają czym rzucać. A chłopcy we wsi — te małe pędraki o takie ot! tłuką kamieniami aż dudni. Sam już nie wiem, ile zabili kur! Nic mnie to nie obchodzi. Stoję i patrzę; to jasne! nikt nie dorzuci dalej, jak na środek rzeki. Myślę że koryto w tym miejscu jest już kamieniami wypełnione do połowy głębokości. No i wczoraj przyprowadzili mi pod wieczór chłopaka, który pono jest tym, co to walnął kamieniem Pudila. Czeka w sieni — zaraz pan tego huncwota zobaczy. Słuchaj Lisicki — powiadam — więc to ty tak urządziłeś tym kamuszkiem tego tam Pudila — co? „Ja!" gada. „Pudil na mnie klął, więc się wściekłem. I rzuciłem tym kamieniem — innego nie było.

A więc masz go znowu — powiadam — ciśnij na drugi brzeg, ale jeśli nie dorzucisz drabie jeden, to ja ci bracie podetnę skrzydełek! Ano wziął ten kamień — łapy ma jak łopaty, nogi rozstawił i mierzy; patrzę żadnej techniki, żadnego stylu — ot partactwo! Plums! rzucił do wody tak na 14 metrów! To właściwie nawet nieźle. Więc mówę mu: ty trutniu jeden! stań tak: prawe ramię w tył — pierś naprzód! A jak rzucisz, równocześnie całym ciałem podaj się ku przodowi, rozumiesz? „Aha!" on na to. Skrzywił się jak święty Jan Nepomucen i plums! rzucił kamień na 10 metrów.

Krew mnie zalała! Ty draniu! — krzyczę — tyżeś to trafił Pudila?! Łżesz! Panie komisarzu, powiada: pambóg niech świadczy, że trafiłem! Niech Pudil znowu tam stanie a dosięgnę tego zbója. Poszedłem do Pudila. Pięknie proszę: panie Pudil, bójże się pan Boga! Tu idzie o światowy rekord. Stań pan znowu na brzegu i przeklinaj jak wtedy. Chłopak zezłości się i dorzuci kamień na drugi brzeg. No i co pan na to panie sędzio? Pudil nie chce — za nic nie chce. Ach, ci ludzie nie umieją się poświęcać dla sprawy.

Więc idę ja znowu do tego ceglarza Wacka. Ty szalbierzu, wrzeszczę; to nieprawda, żeś to ty rąbnął Pudila. On mówił że to zrobił inny! To łże! — powiada Lisicki. —Ja go rąbnąłem! Rąbnij kamieniem jeszcze raz! — powiadam. A ten drab śmieje się: „Panie komisarzu, tak nadarmo to ja nie potrafię; ale tego Pudla... rąbnę! Niech tylko stanie! Bo się na niego zawziąłem. — Wacek, mówię mu po dobremu — dorzuć, puszczę cię. Ale jeśli nie, pójdziesz do aresztu za ciężkie uszkodzenie ciała. Będzesz siedział pół roku!!!

„To sobie to odsiedzę w zimie!" powiada Wacek. No i w imieniu prawa aresztowałem go. Czeka w sieni. Panie sędzio — gdyby pan zechciał tak umiejętnie wydobyć z niego prawdę. Ja myślę, że się złęknie i odwoła. Ale tak, dla nauki, trzeba mu dać jeden miesiąc za wprowadzenie sądu w błąd. Bo przecież w sporcie kłamać nie wolno — o, dostałby za to srogą karę! Zaraz go tu przyprowadzę.

— A więc to ty jesteś tym Wacławem Lisickim — rzekł sędzia patrząc surowo na przetowłosego delikwenta. — I przyznajesz się, że tym oto kamieniem rozmyślnie rzuciłeś na Franciszka Pudila, powodując ciężkie uszkodzenie ciała? Czy mówisz prawdę?

— Dopraszam się łaski pana sędziego — powiedział winowajca — to było tak: Pudil walił pasem małego chłopca, więc ja zawołałem, aby go puścił, a on zaczął mnie wyzywać.

— Rzuciłeś kamieniem, czy nie?

— Dopraszam się łaski — rzuciłem! Ale on klął! — rzekł delikwent skruszonym głosem. — Więc porwałem ten kamień...

— Do diaska! — rozsiedził się sędzia. — Czemu łżesz człowieku? Za okłamywanie sądu jest wielka kara! My wiemy, żeś tego kamienia nie rzucił!

— Rzuciłem! — wyjąkał chłopiec — ale on mi powiedział, że „mam cię gdzieś"!

Sędzia bezradnie spojrzał na policjanta Hejdę, a ten bezradnie na sędziego.

— Rozbierz się człowieku! — surowo nakazał sędzia przestraszonemu chłopcu. — No tak prędzej! Prędzej!

No i za chwilę stał młody siłacz tak, jak go Bóg stworzył i trząsł się. Myślał, że będą go torturowali, i że tak być powinno na śledztwie.

— Niech no pan spojrzy Hejdo na te deltoidy — powiedział sędzia Tuczek. — Albo na ten dwugłowy mięsień. Co pan na to — he?

— No — od biedy, niezły — oświadczył Hejda głosem znawcy. — Ale mięśnie brzuszne — do bani! O, gdybym ja panu pokazał moje mięśnie!...

— Ależ Hejdo! — mruknął sędzia. — To jest tur nie człowiek. Niech pan spojrzy na jego klatkę piersiową — dotknął palcem złotawych kosmatych kędziorów na piersi chłopca. — No tak, ale nogi ma słabe... Ci wieśniacy w ogóle nie mają nóg.

— Bo o nie nie dbają! — rzekł Hejda krytycznie. — To w ogóle nie są nogi! Panie, miotacz kulą musi mieć nogi, że ha!

— Obróć no się! — nakazał sędzia chłopcu. — No a plecy?

— Od ramion — to jeszcze ujdzie — zauważył Hejda. — Ale niżej? Ten chłopak ma wyraźne wady w budowie ciała. Panie sędzio! ja myślę, że on tym kamieniem nie rzucił!

— Ubieraj się! — krzyknął sędzia. — Słuchaj chłopcze! ostatnie słowo: rzuciłeś, czy nie?

— Rzuciłem — wybełkotał Wacław Lisicki z baranim uporem.

— Ośle jeden — ryknął sędzia. — Jeśli rzuciłeś, staniesz przed sądem okręgowym, przyznaj się, że tę historię całą wymyśliłeś dla żartów. Dam ci trzy dni aresztu. Nie więcej! Mów! Rzuciłeś tym kamieniem w Pudila czy nie?!

— Rzuciłem! — powtórzył chłopiec z niesłabnącym uporem. — On mnie sklął więc...

— Zabierzcie go! — zapiał sędzia jak kogut. — Przeklęty kłamca!

W chwilę później policjant Hejda raz jeszcze uchylił drzwi kancelarii sędziowskiej i mściwie rzekł:

— Należałoby mu jeszcze wsolić za uszkodzenie majątku cudzego; wydarł ten kamień z grobli a teraz cała grobla jest już zburzona. To on pierwszy dał zły przykład innym chłopcom!!!

z czeskiego przełożył **Jan Wojakiewicz**

*) Karol Capek (Czapek) jeden z najbardziej cenionych pisarzy czeskich okresu przedwojennego. Dziennikarz, powieściopisarz, nowelista i dramaturg. Czytelnikom polskim znany z przekładu powieści „Krakatit" (rozbicie atomu) i z nowel drukowanych w prasie lwowskiej („Słowo Polskie" i „Gazeta Lwowska"). Umarł w 1938 roku w Pradze.

ADOLF CZERNY

Z cyklu „Miłość" (Laska)

Módl się za mnie

Wszyscy odbiegli, mijają z daleka,
dla których w sercu-m tkliwość miał i cześć,
cień się wydłużył i dzień już ucieka,
kto w mą udrękę zechce światło wnieść?
Wszystko, w com kiedyś wierzył, pierzchło kłamnie,
o siostro moja biała, módl się za mnie!
Gdym wina nalał, gorzkniało w pucharze,
gdym róże posiał — głóg się plenił w kwiat,
dziś mię wyrokiem boży lud pokarze,
już idzie sędzia w grozie czarnych szat.
Wszystko, w com kiedyś wierzył, pierzchło kłamnie,
o siostro moja biała, módl się za mnie!
Wszystko się stliło, com piastował w duszy
od najrańszego mego wschodu dnia,
ostatnie kwiaty przeznaczenie kruszy,
twój goździk jeden wiernie przy mnie trwa.
Wszystko, w com kiedyś wierzył, pierzchło kłamnie,
o siostro moja biała, módl się za mnie!

Codzienność

Rozgadana Codzienność nas tłoczy,
mkną jej głosy ku nam jak pszczół roje —
czujesz, luba, jak się w jej chichocie
kurczem bólu zwiera serce moje?
Czujesz, widzę — Twój wzrok mi to mówi,
biały promień duszy mi wysyła,
by cień smutku spłoszyć z mego czoła,
by w steranym sercu trysła siła.
Mówi, iże w duchu łamiesz dłonie,
jakby głos się rwać chciał z wargi niemej;
Boże, kiedy koniec naszej męce?
kiedyż, drogi, pęta swe zzujemy?

Przełożyła z czeskiego **J. DICKSTEIN-WIELEŻYŃSKA**

*) *Adolf Czerny* (ps. Jan Rokyła) — najpierw gorliwy tłumacz poezji łużyckiej, polskiej i chorwackiej — później liryk opiewający liliowo czystą miłość i idealne profille kobiet. Pod wpływem Tołstoja marzył o Królestwie Bożym na ziemi — po r. 1918 nie obce mu były problemy życia narodowego. (Red).

TEODOR GOŻDZIKIEWICZ

Rodzony koń

Dzisiaj był znowu czwartek. Tak się złożyło, że po szóstej godzinie, kiedy już Władek Tomala skończył oprzątanie inwentarza, bauer pozwolił mu się umyć. Władek dopełnił tej czynności z prawdziwą uciechą, włożył świeże skarpety, inne buty i odczuł całą rozkosz kilkugodzinnej swobody.

— No, przynajmniej do jutra — podkreślił słowami radośniejszy nastrój własnego samopoczucia.

Ręce po całodziennej mordędze, zwolnione od wysiłku, straciły czucie i objął je słodki bezwład. Władek schował je do kieszeni spodni i stwierdził, że w tym położeniu jest im najmilej. Stanął w drzwiach kuchni i spojrzał po świecie.

Był wieczór listopadowego dnia. Ciemno zupełnie. Mżył nieprzyjemny deszcz. W rynnach brzęczała i ciurkała przy wylocie spływająca z dachu woda. Górą — poza szczytami zabudowań bauera — powiewał złośliwy, chłodny wiatr. Wierzchołki bezlistnych drzew szumiały obco i niegościnnie. Na podwórku było błoto.

— Ciekawym, czy też przyjdą? — zapytał siebie w myśli.

Zbierali się we trzech po kolacji na strychu stajni już od kilku tygodni. Tak było najlepiej, bo to niby pracowali do szóstej, ale jeżeli zostali w domu pod ręką, często— gęsto bauerowi strzeliło coś do łba i pędził do roboty. Nie patrzył na wieczór, ani na nic. Więc najlepiej było zejść mu z oczu, zaszyć się w kąt, żeby nic ich więcej nie obchodziło. A to pyskowanie bauera na drugi dzień można było jakoś przeżyć.

Kolację zjadł Władek o siódmej i niepozornie wysunął się na dwór. Było tak ciemno, że zdawało mu się, jakby wlazł w komin. Światła na podwórku nie świecili, bo srogo było zabronione. Po chlipiącym pod butami błocie doszedł omackiem do końca zabudowań podwórzowych. Tu po schodkach wszedł na dach szopki, po dachu do drzwiczek, którędy pakowali w lecie siano, i macając wkoło rękami posuwał się ostrożnie naprzód. Tam było takie jedno miejsce. Do niego zdążał.

— Uważaj, bo mnie nadepniesz! — rozległ się w ciemności ostrzegawczy półgłos.

— To ty, Józek?

— Ja.

— Jesteś już? — spytał uradowany Władek poznawszy głos swojego niedalekiego sąsiada, który pracował u starego Niemca.

— O, już dawno... Jeszcze trochę, a byłbym usnął.

A po chwili, jakby uzupełniając zrozumiałe w tej sytuacji pytanie, dodał sam od siebie:

— Bronek też powinien wkrótce być.

Rozpostarli koc przed sobą dla bezpieczeństwa, ułożyli się wygodnie na brzuchach i zapalili papierosa. Było tu czarno, zacisznie i przytulnie. Zapach poruszonego siana i kurz łaskotał w gardle i wiercił w nozdrzach. Po blasze dachu siał jednostajnie drobny, równy deszcz, wiatr szumiał w gałęziach za ścianą. Dolatywało to przycichłe, jakby sztucznie oddalone i nieszkodliwe.

Rozpalający się od pociągnięcia ustami ogienek papierosa rozpylał trochę światła i w nim ukazywały się wyraźniej wypukłe części twarzy, pobliskie źdźbła siana i grube linie kozłów.

W pewnej chwili zatrzeszczał dach przybudówki, skrzypnęły belki wpuszczone w mur, usłyszeli stąpania, ruch się przybliżył.

— Pewnie Bronek — szepnął Józek.

— Uhm- — potwierdził mruknięciem Władek.

Otworzyły się drzwiczki, wpadło trochę wiatru, który omusnął twarze i głasnął sterczące słomki siana, zajaśniała matowa połyskliwość przestrzeni i wahający głos zapytał:

— Jesteście?

— Chodź, chodź!

— Śmiało, śmiało!...

Klapnęły zamykane drzwi, zachrzęściło siano, drgnął głucho pod nogami pułap. Uścisnęli przybyłemu rękę, ułożyli się we trzech. Chwilę trwała ceremonia zapalania papierosa.

— Uważaj, pal tu nad kocem, bo cholera jakby co...

— No, no! — no, no! — uspokajali się wzajemnie, wyrażając tym tonem i własną ostrożność i pewne lekceważenie dla przesady gospodarza: gdzieby tam zaraz...

Ćmiąc chwilę w milczeniu papierosy wschłuchiwali się w lekki szelest spalanej bibułki. Wielka cisza panowała w całym obejściu, tylko w blachę ciął drobny deszcz i szumiał w ogrodzie jesienny, listopadowy wiatr.

Cóż mieli robić tu w tej samotni (choć pomiędzy ludźmi), oddaleni od swoich stron kraju w głąb Niemiec w samym środku wojny?

Mówili — opowiadali swoje dzieje tak prosto, jak ich doznali, sądzili jak umieli, krzepili się jak mogli. Poczucie swojego człowieka łokieć w łokieć choć przez tych kilka godzin nastrajało jakąś złudną pogodą, jakimś nienaturalnym oderwaniem się od tła, od miejsca, od pracy na cudzym dla kogoś.

Ich wsie i domy zostały gdzieś daleko: niewiadome, kłopotne, serdeczne. Dzielił je od nich czas, przestrzeń i rozległy świat wrogości — wojny, strachu, łapanek, walki, krwi, pożarów i zgliszcz. Co słowo — to ból. Co zdanie, to oskarżenie, co westchnienie — to tęsknota. A pod tym — jak ogień pod darnią — tliło się głuche zarzewie nienawiści.

— No, mów, mów! — zachęcali Bronka.

— Dobrze, opowiem wam — zgodził się jakby potulnie.

I Bronek zaczął opowiadać.

— Pochodzę z Czartorii, wiecie, gdzie jest Czartoria? Nie, ja wiem, że nie wiecie. Więc choćbym wam powiedział, i tak na niewiele by się zdało, bo nie macie pojęcia, gdzie to jest. Musicie wiedzieć, że taka Czartoria była i jest. Was nie było na świecie, a ona już istniała. Od was na pewno daleko. Jeżeli ktoś pochodzi spod Częstochowy czy spod Bydgoszczy, myśli, że tam dla wszystkich ludzi pod słońcem jest środek świata. A to jest środek świata dla niego. Dla mnie takim środkiem świata jest Czartoria.

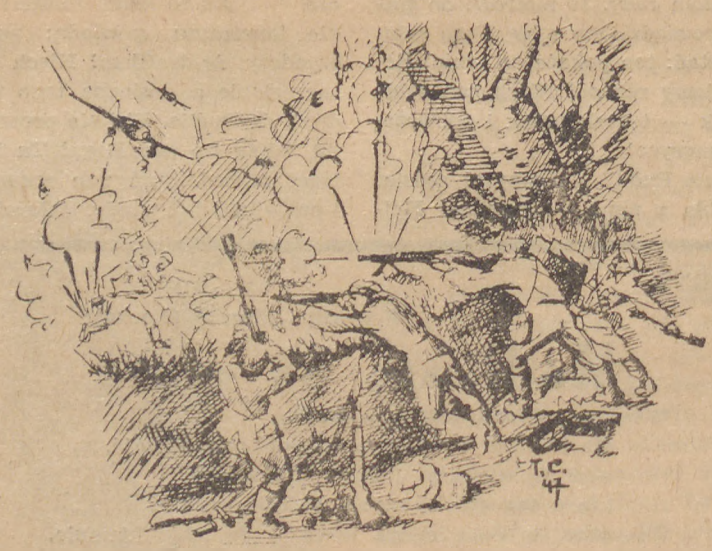

Żebyście wiedzieli, jak tam jest ładnie!.. Jak wesoło! We wsi jest kościół, szkoła, sklep, a za wsią zaraz rzeka — Pichna się nazywa. Co ja się tam nakąpałem! co ja się tam ryb nałapałem! Nie macie pojęcia.

Kiedy mnie zmobilizowali w czerwcu, umundurowali i staliśmy na kwaterze już drugi miesiąc — myślałem, że zdechnę, tak mnie tęsknota brała. Raz tośmy się nawet zbuntowali — albo niech będzie wojna albo niech puszczą na żniwa... I wojny nie było i na żniwa nas nie puścili. Tylko dowódca batalionu nam nagadał aż do samych flaków. Czy miał rację? — bo ja wiem? Upały były jak diabli, a tu ćwiczenia i ćwiczenia w pełnym rynsztunku. Pot — kurz — gorąco — ciężko, człowiek myślał, że zdechnie z tego wszystkiego, ale nie zdechliśmy, tylko się każdy opalił jak murzyn.

Nareszcie w sierpniu wyjechaliśmy nad granicę. Słupy było widać i niemieckich strażników, jak chodzili po linii z psem, z karabinami. A tak nic więcej nie było widać. Obraliśmy stanowiska niedaleko wsi pod takim zagajnikiem i czekaliśmy. Nie było co robić: nudziliśmy się i opalali.

Ostatniego sierpnia zdawało się, że tam gdzieś daleko maszeruje wojsko czy coś. Ale nie myśleliśmy o tym bardzo. To my też czasem i chodziliśmy i nas też tam ktoś przecie widział. Dopiero na drugi dzień skoro świt przeleciało kilka samolotów i w prawo od nas i w lewo strzelają. Artyleria bije jak cholera. No — myślimy — wojna na prawdę. Do nas w pewnej chwili jak nie zaczną strzelać z cekaemu! Były takie krzaczki nieduże przed nami, to z tych krzaczków. Ale wszystko za wysoko. Dowódca plutonu rozkazał mojej sekcji natrzeć tak z boku trochę, natarliśmy przy wsparciu naszego cekaemu i Niemcy uciekli do wsi. Dalej ich nie goniliśmy. Nastrzelaliśmy się trochę i tyle.

Myśleliśmy, że to już koniec wszystkiemu — chociaż paliło się naokoło: i tu dym i tu dym. Ale może była ósma, przylatuje goniec od dowódcy kompanii — pluton musi się wycofać. Szliśmy z godzinę do szosy, dochodzimy, a tu bałagan jak jasna cholera! Samochody, wozy, ludzie, wojsko... A lotnicy od czasu do czasu przelatują i z kaemu... i bomby... Chryste Panie!

Szliśmy nie szosą ale polami, rowami — chowaliśmy się, kryli i jakoś nas lotnik nie zobaczył. Nieśliśmy jeszcze wszystko: plecaki, karabiny, erkaem, amunicję. Nasz drużynowy trzymał nas za pysk jak na manewrach, to i myśmy się trzymali. Nareszcie stanęliśmy i zaczęliśmy się okopywać. Jeszcze nie zdążyliśmy jakich takich dołków wygrzebać, a już nie wiadomo skąd, jak Niemcy nie zaczną rypać! Kule gwiżdżą nade łbem jak cholera. Patrzymy — od takiego lasku drużyna naciera z erkaemem. Ten lasek jeszcze widzę... Serce mi trochę bije, pamiętam... Skaczą dobrze. My tu już z karabinów strzelamy, ale nasz celowniczy jeszcze się guzdrze. Tamci idą dobrze. Pukamy, ale to nic...

Dopiero jak się celowniczy wstrzelał, jak nie zacznie rąbać!

— Gęsty ogień! — ryczy drużynowy.

Jak zaczęliśmy, cholera, strzelać, to Niemcy utknęli. Pewnie ze czterech było zabitych, a reszta przylgnęła w takim zagłębieniu i leżą. Co się który poderwie, to nasz erkaem po nim... po nim... I nic. Zanadto się od tego lasku oderwali. Tu już słyszę, jak drużynowy woła:

— Granatnik na stanowisko! Granatnik na stanowisko!!

Granatnik był w mojej sekcji, już rypnął kilka razy, tam się zakołatało, wstają ze strachu a my po nich. Myślę sobie: teraz jak sekcja nasza natrze z boku, to im cholera damy jaja! Ale tam też mieli oczy. Patrzymy, a tu z boków nacierają jeszcze dwie drużyny. Rany boskie — cały pluton!

— Koledzy!.. Koledzy! Rozsypać się jeszcze! Rozsypać.. Rzadziej! Rzadziej! I strzelać! Strzelać! Mamy rozkaz ich tu zatrzymać!..

Niemcy — te dwie drużyny z boku — skaczą sekcjami. Widocznie nasz rzadki ogień nic im nie szkodzi. Ale się trzymamy. A za chwilę — Niemcom podesłano cekaemy. Jak nas nie przycisnęły ogniem! — bieda. Ale to jeszcze nic. Dopiero lotnicy... Trzy aparaty... No — szkoda gadać! Z dwudziestu prawie zostało nas ośmiu. Jakim cudem? — nie wiem. Mówię wam. Powinniśmy byli wszyscy wsiąknąć, a jakoś nie. Zwialiśmy rowem za krzaki, krzakami naprzód i naprzód; doszliśmy do Warty, potem do Wisły, potem do Bugu. Błąkaliśmy się tak tylko. I pod Zamościem zabrali nas do niewoli. Kupa nas była. Pieszo, rzędami szliśmy i szli na zachód. Mówię wam te groby, te trupy końskie, te rozbite wozy i armaty: ech!.. A głód, a wszy, a strach — bo strzelali, jak się tylko człowiek schylił. I tak doszliśmy aż do Drezna, do obozu.

Tu nas trzymali w głodzie i mówili, że kto się zapisze na roboty, to jeść dostanie, i tak robili — tym zapisanym zaraz koło nas dawali jeść. A to chleb, a to szmalec, a to kiełbasę... A tu głód!.. — Jezu!

Zapisałem się i macie mnie. Jakie cztery, pięć dni to się trzymałem, ale ostatecznie — zapisałem się i ja. I mówię wam, z tego wszystkiego, z tej całej wojny, to tylko wiem, i to pamiętam, jak ta nasza drużynka trzymała cały pluton — tam pod tym lasem...

Urwał opowiadanie i wsłuchał się. Czuł się cokolwiek zawiedziony. Swoje obawy i podejrzenia wyraził w pytaniu:

— Śpicie?

— Ech, nie! Skądże! — zaprotestowali sennymi głosami — słuchaliśmy...

— Pewnie późno. Idę już. Zobaczymy się za tydzień. Dobranoc.

— Idę i ja.

Trzasnęły drzwiczki, zatrzasnął się pod odchodzącymi daszek. Pochłonęła ich listopadowa, dżdżysta noc.

✣

Następnego czwartku panował przymrozek. Czuć było zimę. Błoto skrzepło w dzwoniącą pod butami skorupę. Nadszedł wieczór. Na szaro-granatowej płycie nieba wytrysło mrowie drżących gwiazd. Od północy zawiewał suchy mroźny wiaterek. Napędzał pod dach, do ciepła, do ludzi.

Władek Tomala przyszedł do przekonania, że — jeśli przyjdą tamci — w samych ubraniach na strychu będzie może chłodno. Przygotował więc drugi koc do okrycia, ściągnął go ze swojego wyrka i zaniósł ukradkiem na górę.

Im bliżej było terminu, tym bardziej wzrastał niepokój Władka. Nawiedzały go przypuszczenia, że jednak może się coś stać, co przewróci wszystkie zamysły: wypadnie jakaś robota, może jaki wyjazd, sto jakichś innych może. A tak się już do tych rzeczy wezwyczaił, tak przywykł, że trudno mu nawet myśleć o zmianie. Są razem, słyszą swoje zrozumiałe słowa, robota — nienawistna robota dla obcego — jest porzucona. Każdy dzień ma jakiś cel — przybliża spotkanie, skraca czas oczekiwania. Każdy czwartek zaś...

Przed samą kolacją gospodarz rozpoczął narządzanie uprzęży, więc dopóki nie skończyli, nie podawano jeść. Stąd wszystko się spóźniło. Kiedy zaszedł na schowek, tamci już byli.

— Co tak długo? — mówi jeden.

— Wiesz, dobrześ skombinował z tymi kocami.

— No?

— Przykryliśmy się oboma.

— Tak zimno? A palenie?

Ścisnęli się bliżej i jednak koc jeden podesłali pod brody. Stopy utkwili w sianie. Nie było zimno. Bliskość ciał i jedno okrycie zrównoważyły chłodek strychu. Zapalili, omówili swoje roboty tygodniowe, swoje listy, jakie otrzymali, i każdy drobiazg schwycony przez te siedem dni niewidzenia.

A potem przystąpili do najważniejszego.

— No, Józek, mów-mów. Bo czasu szkoda...

I Józef zaczął mówić.

— Ja, dlaczego akurat ja? Ale niech będzie, mogę mówić. Moja wieś nazywa się Potoki. Tych Potoków to jest wszędzie dużo. Jakbyście się dobrze obejrzeli, to na pewno koło siebie znaleźlibyście jakąś wieś Potoki. Ale u nas Potoki są tylko jedne, to te, w których ja się urodziłem i wychowałem.

Było to w roku 1941. Dwa lata temu. Do naszej wsi przyszedł chłopak, który był w wojsku plutonowym zawodowym. Znaliśmy go, więc nie było się co bać. Gadaliśmy, gadaliśmy wieczorami — i organizacja: pięciu ludzi. Dobrze, mogę znaleźć i dziesięciu. A organizacja nazywa się WOK — walka o kraj. Niech będzie. Dla mnie było to wszystko jedno, jak się nazywa.

Rozpoczęło się gromadzenie broni i amunicji. Po miesiącu okazało się, że mieliśmy jeden pistolet bez bezpiecznika i siedem naboi do niego, jeden granat niewypał i trzy zardzewiałe karabinki. Tego to było od 39 roku, każdy chował po kątach, po stertach, po studniach, po dołach. Raz w tygodniu w sobotę mieliśmy ćwiczenia w nocy nad rzeką. Więc trzech ćwiczyło karabinami, a siedmiu miało kije. Co parę chwytów broń była zamieniana.

Uczyliśmy się nocnego marszu, nocnego patrolowania i różnych rzeczy. Ponieważ jednemu udało się zdobyć jeszcze dziesięć naboi tego kalibru, więc pozwoliliśmy sobie na ogromny luksus: każdy strzelił raz z pistoletu.

Pamiętam to dobrze. Była może jedenasta w nocy, poszliśmy na pole i rabaliśmy aż miło do rozpostartej gazety. Na drugi

dzień rano ludzie byli spłoszeni: pytał jeden drugiego, co to mogło być? Taka strzelanina? W nocy? Może Niemcy kogo gonili? Nikt się nie dowiedział, nikt nic nie widział, a myśmy się w duszy śmiali.

Raz w maju przywózł nasz komendant naboje, nowy pistolet i dał mi taki rozkaz:

— Masz, przećwiczysz sześć strzałów: dwa w miejscu, dwa w marszu, dwa w jeździe na rowerze. Wszystkie sześć mają być skuteczne. Dostaniesz wkrótce zadanie do wykonania.

Dobra — zabiło mi serce trochę, ale dobra. Jak tu strzelać, gdzie tu strzelać? W nocy? Nie, to nie może być w nocy. Wybrałem sobie dzień — samo południe — w polu. I strzeliłem, jak mówił rozkaz. Strzelałem do czapki na kiju. Skuteczność... nie, nie powiem. Ale zameldowałem:

— Komendancie, melduję posłusznie, że przećwiczyłem sześć strzelań: dwa w miejscu, dwa w marszu, dwa w jeździe...

W piątek mówi do mnie, że ja mam jeszcze z drugim zastrzelić w mieście kierownika Arbeitsamtu.

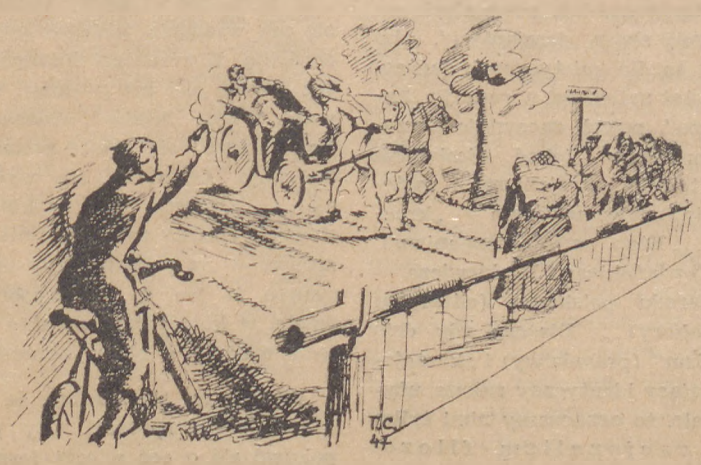

— Znasz ten szosik — opowiada — co wychodzi na ulicę Polną. Tam jest kapliczka. Tam będziecie czekać. On wyjeżdża do biura kwadrans przed ósmą. Jedzie bryczką szybko, więc musisz tak zrobić, żeby go zastrzelić. Ma przy sobie pistolet. „Wojtek" cię będzie ubezpieczał.

„Wojtek" był z mojej wsi, ale nie wyjeżdżaliśmy razem, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi i żeby nas nikt razem we dwóch nie widział. Pierwszy raz pojechaliśmy, na miejscu koło kapliczki byliśmy o wpół do ósmej. Stoimy, czekamy, naprawiamy niezepsuty rower — nie ma nikogo. A tego Niemca znałem. Niski, nadęty, miał czarny, pokancerowany pysk — brzydki jak pies. To on robił wszystkie łapanki.

Więc patrzymy na zegarek: ósma — nic nie widać. Postanawiam czekać jeszcze pół godziny. Psiakrew — mówię wam, to się tylko tak mówi: czekać z bronią. Ten pistolet mnie parzył, ten pistolet każdy u mnie widział. A tu ludzie przechodzą, a tu przejeżdża policjant granatowy. czasem żołnierz przejdzie. No, a trzeba było być spokojnym, bo ten drugi — ten „Wojtek" — był pod moją komendą. To nie głupstwo.

Nic z tego nie wyszło. Nie jechał. Zeszliśmy z posterunku o wpół do dziewiątej. Nawet nie meldowałem. Co było meldować?

Na drugi dzień — pojechałem. Zajechałem koło kapliczki: wpół do ósmej. W porządku. Ale „Wojtka" nie ma... Czekam pięć, dziesięć minut: cholera nie ma nikogo. Jeszcze nie przestałem kląć, patrzę — jedzie bryka.

— Co zrobić, do diabła, co zrobić?

Zanim się zdecydowałem, zanim pozbierałem rower — przejechała. Mnie po kocich łbach na rowerze było trudniej jechać, niż jemu bryczką na gumowych kołach.

— Co robić, do diabła — myślę — co robić?

Tamten jedzie w miasto coraz dalej, przepadnie... Niech się dzieje, co chce: jadę. Siadam na rower i jadę. Trudno. Ale byłbym go może i nie dogonił, bo przecież ten rower, tu te kocie łby... A on zjeżdża! Całe szczęście, że tam dalej był przejazd kolejowy i ten przejazd mu przed nosem zamknęli. Więc bryka stanęła i czekali. Dojechałem.

Był w tym żółtym mundurze hitlerowskim. Pas na płaszczu. Jeszcze dziś widzę, jak wgniatał sobą plusz na siedzeniu bryczki. Powoli dojechałem do niego z tyłu. Zeszedłem z roweru. Ludzi już się trochę uzbierało koło tego szlabanu. Ale przecież nikt się nie spodziewał po jakimś tam chłopaku wiejskim czegoś podobnego... Wyjąłem pistolet z kieszeni i w ruchu rąbnąłem cztery razy... Wszystko w pas... Między oparciem bryki a siedzeniem. W głowę bałem się celować (a jak chybię!?) i przecież nie mogłem przystawać. Mógł się obejrzeć.

Wsiadłem na rower i zacząłem wiać. A ludzie naokoło uciekali jak na skrzydłach. Ktoś za mną jeszcze strzelił, ale nie wiem kto. Jedni mówili, że on, drudzy — że furman, inni — że strażnik na przejeździe kolejowym.

Nie iwem naprawdę do dziś. A „Wojtka" spotkałem w powrotnej drodze: rower mu nawalił i szedł pieszo...

I byłoby wszystko w porządku: cichosza. Niemcy nikogo nie aresztowali, nikogo nie pociągali do odpowiedzialności, gdyby nie jedno świństwo. Raz wieczorem w jesieni dwu naszych pętaków wzięło karabiny i poszło do drugiej wsi. Czy tam chcieli kogo nastraszyć, czy obrabować, czy się pochwalić tymi karabinami, dość że poszli. Natknęli się na patrol niemiecki, zaczęli uciekać, a żandarmi strzelać. Jednego zabili, a drugiego złapali. Jak go zaczęli na miejscu lać, tak wszystkich wydał. Sześciu wzięli tej nocy jeszcze. jeden był u brata i tam nocował, a mnie ocaliło głupstwo: byłem u dziewczyny, zasiedziałem się i nie było mnie w domu.

Przez jakiś czas obijałem się po okolicy, chowałem po strychu i oborach, ale potem mi poradzili, żeby inaczej zrobić. Tu w moich stronach wszyscy drżeli o moją i swoją skórę, gdzieś dalej bałem się jechać. Nikogo nie znałem. Więc udałem się do drugiego miasta i tam na metrykę urodzenia kolegi zapisałem się do Prus. Na roboty. I macie mnie.

Nie było wtedy ani partyzantki u nas, ani nic. Prawie żadnej opieki. Miałem stracha zawsze — i nawet w pociągu, jak jechałem do Warszawy. Dopiero tam na Skaryszewskiej — w tym bałaganie odetchnąłem.

Tu przyjechałem i tak siedzę. Spotkałem was i gadam. Tylko... pamiętajcie...

— Nooo! Nooo!

I znowu:

— Śpicie?

— Eee nie. Skądże. Gadasz to samo, co gadał przedtem Bronek.

Na strychu cisza pulsowała krwią w uszach. Pod spodem brzęczały łańcuchy powiązanych krów.

— Dobranoc.

*

A więc to jednak zima. Upadł śnieg. Pierwszy śnieg w tym roku. Legł na ziemi zwiewnym nalotem niby rozsypany z przypadku kwap. Powietrze drżało jeszcze potrącone spadającymi przed chwilą okruchami bieli.

Na to przyszedł wieczór i rozproszył niebieską ćmę, że zdawało się, jakby ziemię i niebo, pola i wsie wykąpał w farbowanej wodzie. Zachód tylko przecierał się jaśniejszą barwą — złotą w samym środku lśnienia i kremową ku bokom, ku górze. Na rzadkich niknących obłoczkach potworzyły się blade rumieńce łysin — gasnących, nikłych.

Władek patrzy na te rzeczy chodząc po podwórku przy oprzątaniu inwentarza. Przypominają mu one rzeczy dalekie a swojskie, znane a prawie nieokreślone. To i u siebie, jak spojrzał przyściankami na zachód przed zapadnięciem zmroku — widział to samo. Za polami był bór — za borem ten różowy płat jasności. — Ale zorza, ale zorza! — mówiła wtedy matka pociągając nosem — jutro na pewno będzie mróz. Więc pamięta Władek tę biel śnieżną na polach, uciętą granatową obręczą boru, ten zachód naświetlony zorzą i czuje dziwna duszność w piersi, dziwny ucisk w gardle.

Po kolacji nic się nie dzieje przeciwnego, więc zaszywa się w swój kąt, w siano na strychu i czeka. Tamtych nie ma, ale to łatwo zgadnąć dlaczego. Na śniegu widno, mógłby kto wypatrzeć i posądzić o niewiadomo co. Na pewno przyjdą później. Nie ma się co martwić.

Więc Władek legł spokojnie, wyciągnął się jak długi i **zastygł w bezruchu.** Wtedy cisza przemówiła do niego samymi znajomymi symbolami. Coś w kącie zaszemrało — wie, mysz się ukradkiem przemknęła od schowka do schowka. Rozległ się dyskretny pisk, coś jak ostrożne cmoknięcie i zaraz potem rozniósł się mocny zapach mysi. Coś furknęło krótko, ostro — to wróbel nocujący w jakimś zakątku ustronnym strzepnął nastroszone piórka, poprawił się, oddał biały balasek pomiotu i skurczył szyję, aby trwać w bezruchu przez następnych kilka godzin. Coś chrabęści po sianie wolno, równo, ostrożnie: kroki — wiadomo: kot. Trzyma nieruchomo głowę, łapki przednie stawia z całą precyzją — ominie każde źdźbło przeszkadzającego sianka, stawia palce wolno, potem przenosi na nią cały ciężar ciała i dostawia bezszelestnie nóżkę zadnią...

Teraz słychać tupanie butów, teraz skrzypi dach, teraz otwierają się drzwiczki.

— Jesteś?

— Jestem.

Układają się, okrywają. Chrzęści siano, skrzypią ocierające się o siebie cholewy butów, plaskają prostowane na grzbietach koce. Następuje ceremonia papierosa i obrzęd mówienia o swoim tygodniu. Spoza słów i zdań o ciężkim czasie błyska jakieś wspomnienie dni lepszych, które były — lub nadzieja na dni lepsze, które przyjdą. Wykopują się z codzienności jak z przywalającej sterty słomy — na wierzch, ku górze. Uciekają do dni innych, dobrze znanych a lżejszych. Brata się każdy z pamiątką sobie najbliższą, drogą, codzień cenniejszą, codzień milszą.

Dzisiaj namówili na opowiadanie Władka. Dzisiaj opowiada Władek.

— Ja się urodziłem i wychowałem w Borkach. Na pewno nie znacie tej wsi. Ale wiedzcie, że u nas ludzie naprawdę żyją z boru. Trochę drzewa ukradną i sprzedają. Trochę zapolują nielegalnie. A do tego dochodzą grzyby, jagody, kwiaty. Mówię wam, nie ma jak las. Przynajmniej dla mnie.

Myślicie, że wierzyłem w wojnę? Ani trochę, ani źdźbebka. Niech tam radio gada, niech piszą gazety, co chcą — wojny nie będzie. Nieraz się z sąsiadami sprzeczałem. Starsi jakoś więcej wierzyli w wojnę, młodsi — nie. I jak wiecie, wojna była. Minęła nas bokiem, daleko, bo od nas do każdej drogi duża odległość, a ta wojna toczyła się tylko na drogach i koło dróg.

Najbardziej nas potem przestraszyło bra-

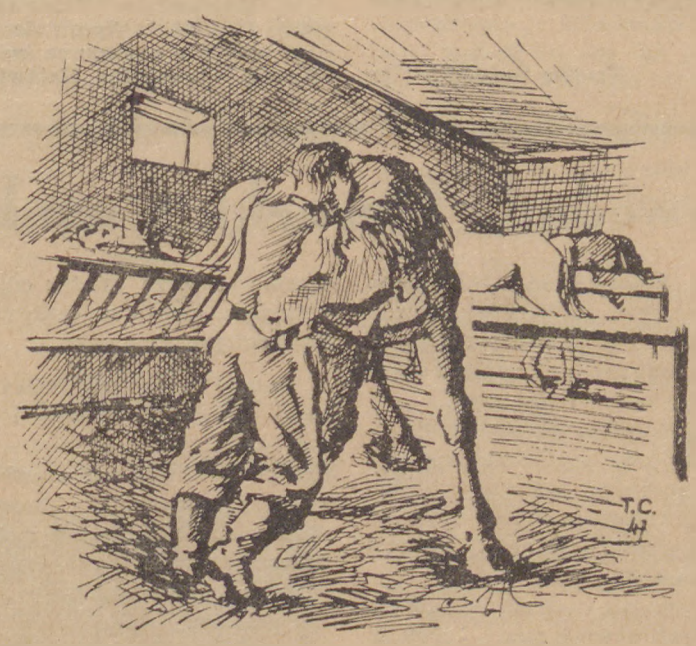

nie do Prus na roboty. Nikt nie chciał jechać. Jak pierwszy raz wyznaczyli, to kilku pojechało, ale potem żałowali!... A pisali listy!... Każdy więc potem wiedział o co chodzi i miał dosyć.

Nałożyli na wieś drugi kontyngent — nie pojechał nikt. We wsi panowała wściekłość na sołtysa, bo kto z tych bogatych pił z nim wódkę, ten różowej karty nie dostał. Ale musiał przecież ktoś jechać, więc sołtys wyznaczył innych, tych biedniejszych. Wyznaczył i mnie. Ale nikt nie pojechał. Niech się dzieje, co chce — nie pojechaliśmy. To było w kwietniu. Było już ciepło, więc porobiliśmy sobie schrony w boru i tam się chowaliśmy. Myśleliśmy, że przeczekamy, ale po dwu dniach przyjechali żandarmi i zabrali rodziców. Prowadzili ich całym sznurem. A jak nie było rodziców, to brali kogokolwiek: babkę, dziewczynkę, chłopca. Mnie nie było, siedziałem w lesie, więc zabrali ojca. Po tygodniu zaczęliśmy z boru wychodzić, wyszliśmy, myśleliśmy, że jak mają zakładników, to nas zostawią w spokoju.

I raz z soboty na niedzielę spaliśmy w domu, a tu akurat wojsko otoczyło wieś i wszystkich nas złapali. Wszystkich do jednego. No i jestem na robotach. Najpierw mnie dali do takiego dużego „bałora". Roboty było do jasnej cholery! Tych krów, tych koni, tych świń, tego pola — rety!... Myślałem, że zdechnę. Ale nie Niemczysko stare z babami — wszystko ponure: ani słowa nie powiedzą. Inni robotnicy byli z Danii. Nie zmówiłeś się z nikim, nie powiedziałeś słowa do nikogo. Ani ty nie rozumiałeś nikogo, ani oni ciebie nie rozumieli. Wy wiecie przecież, co to znaczy. Jesteś między ludźmi, a jak byłbyś na pustyni. Każdy tylko patrzy na ciebie spod oka i warczy jak pies na dziada. Diabli takie życie: ani niedzieli, ani wieczoru — tylko rób i rób... Przykrzyło mi się... jejjej...

Taki byłem sam, taki byłem smutny, że myślę sobie: będę uciekał, a jak się nie uda, to się powieszę. Czego się męczyć? Tak myślałem, naprawdę. Nieraz, jak poszedłem spać, to chociaż byłem natyrany jak wół — nie mogłem usnąć. Leżałem i leżałem, patrzyłem w sufit i patrzyłem. Przypominała mi się wieś, ludzie, bór: jak to wszystko wygląda, co robi, jakie jest.

Przypomniała mi się raz jedna rzecz. Taki już byłem spory chłopak — znalazłem w końcu ról prukawkę. Wiecie, co to jest prukawka. Jak leci, to tak jej się tylko te skrzydełka gną... A jak w czerwcu, w lipcu zapruka — deszcz, moi kochani, murowany. Miała jajka. Czekałem na nie i czekałem, żeby się wylęgły. Wylęgły się, dzieci urosły i, jak już były takie szypulaki, podebrałem je. Jeszcze dziś pamiętam: miały takie okrągłe czarne oczka w siwych jak z popiołu wyjętych piórkach. Były ogromnie cieplutkie, jak je wziąłem w rękę. Urwałem im łebki i przyniosłem matce do usmażenia.

To jak mi się te prukawki przypomniały... No, nie wiem. Dlaczego mi ich wtedy nie było żal, tylko akurat u tego „bałora"? Ale taki żal, tak przykro, jakby one się prosiły o życie. Zrobiło mi się głupio: wstyd, przykro, gorąco. I tak jakoś dziwacznie — ja się macam po twarzy, a ja... płaczę... Mówię wam.

Bo to było raz?

Wystarczyło, że mi się jakieś głupstwo przypomniało — i już. Najczęściej nocą. Ale nie dziwcie się: byłem sam, daleko do domu i w takiej ciężkiej oracy. Żałowałem samego siebie i wszystkiego i pies by się nade mną ulitował. Ale tam przecież nikogo nie było.

Pracowałem przy koniach najwięcej, bo konie lubiłem. Słałem pod nie, sprzątałem nawóz, czyściłem. Wiecie, jakie mają szkapy. Z całego tego gospodarstwa, to jeszcze najlepiej się czułem u koni.

Raz nabyli z jakiegoś remontu wojskowego jeszcze trzy chabety. Takie sobie obiboki. Były chude i zabiedzone. Miały się u nas odpaść i poprawić i dopiero być brane do jakiejś roboty.

Tak wszystkie nauczyłem, że jak tylko wszedłem do stajni i krzyknąłem „loos!", musiał każdy podnieść łeb i ustąpić mi z drogi. Nawet i te nowe już łapały, o co mi chodzi, ale tylko dwa. Ten jeden za Boga — nie- Ile dostał wideł, ile razy go kopnąłem w brzuch. Nie. Jak pień. Co za cholera? Głuchy czy co?

(Dokończenie na str. 8-ej)

Wymyślałem mu, kląłem — nic nie pomogło. Najwyżej ruszył uchem, albo się obejrzał, jak wszedłem, kiedy był głodny. I to wszystko. I tak ze dwa tygodnie. Już widziałem, że się trochę odkuł, a żadnych głosów nie rozumiał.

Raz wchodzę do jego zagrody, byłem jeszcze zaspany i po prostu nie wiedziałem, gdzie jestem, i zamiast krzyknąć „loos!" wyrwało mi się samo nie wiem jak i kiedy:

— Nastąp się!

Mówię wam — jakby w tego konia piorun strzelił. Jak się nie poderwie, jak nie skoczy z miejsca na bok, jak nie podniesie łba, jak nie stuli uszu!... Nie wiem, co się ze mną stało. Zgłupiałem i widły wyleciały mi z ręki. Co to za koń? Ale już mi coś świta w głowie, już coś dnieje, bo nawet wyraźnie nie myślę a już mówię sam nie wiem skąd:

— Ciesiu, ciesiu!

I patrzcie, co się robi: koń o mało nie przemówi. Pręży szyję, podnosi łeb, mruży oczy i rży... i rży! krótko, radośnie, jakby mnie znał dobrze a dawno nie widział. Co za diabeł, patrzcie.

To ja tak idę do jego łba powoli, powoli: klepię zad, klepię bok, łopatkę, klepię szyję i mówię wciąż po cichu:

— Ciesiu!.. Ciesiu!.. Ciesiu!..

A jemu tylko ta skóra lata i przestępuje z nogi na nogę i wciąż rży.

— — — — — — — —

Cieszyłem się nim tylko pewnie ze trzy miesiące. Dbałem o niego, kradłem dla niego żarcie, tamtym odbierałem a jemu dawałem. Już nie byłem sam. Było mi lżej. I patrzcie: Niemcy to zauważyli, że ja z nim gadam i o niego stoję. I sprzedali go. Nawet nie wiedziałem, kiedy i gdzie. Wyjechali rano i wrócili z innym. To ja zaraz za trzy dni od nich uciekłem. Ale mnie złapali pod Poznaniem, zbili i siedziałem kilkanaście dni w więzieniu. A potem dali tu. Tak się to wszystko stało.

— Śpicie?

— Eee nie... Nie śpimy.

— Bo tak cicho... — dodał Władek drażniąco.

Nie mówili nic. Zabrali się w milczeniu.

— Dowidzenia! Dobranoc!

*

I tak szedł czwartek za czwartkiem. Zbierali się na tym strychu ostrożnie, tajemniczo, a kiedy później przyszły mrozy, przenieśli się na wyrko Władka do stajni. Z głębokiej pamięci własnych przeżyć odgrzebywali jakiś drobiazg, jakiś szczegół, który tu na dalekiej obczyźnie urastał do granic wielkich problemów, które „trzymały".

Teodor Goździkiewicz

Filozofia pracy i narodu*)

Polska nie zna swoich filozofów. Jest to fakt równie pewny jak niewesoły. Do niedawna ogromna część narodu w ogóle nie uczestniczyła w dorobku wyższej kultury; może teraz to się zmieni; daj Boże. Ale gdy się robi bilans teraźniejszości i przeszłości, nie zaś przyszłości przewidywanej, trzeba niestety ograniczyć się do tzw. inteligencji. Otóż, ogólnie biorąc, zupełnie dobrze znamy swych wielkich powieściopisarzy, a nawe kilku największych poetów. Znamy też niezgorzej wkład naszych uczonych do powszechnej składnicy nauki. Niejeden z nas jest należycie obznajmiony z bardzo cenną polską logistyką i semantyką. Ale zgoła nie znamy oryginalnego wkładu myśli polskiej do filozofii. Nasz ogół dosłownie nic o tym nie wie. Badacz, który ze smutkiem stwierdziwszy tę niewiedzę ogółu, redukuje swe nadzieje i szuka przynajmniej kilku poważnych i aktywnych grup, zajmujących się poszczególnymi filozofami, znajdzie ich chyba tylko trzy. Mam na myśli badaczy, kontynuatorów i komentatorów Wrońskiego — Trentowskiego — Cieszkowskiego. To bodaj wszystko. Grupy te są zresztą bardzo mało wpływowe, choć wkładają szczery zapał i ogrom żmudnej pracy. Innymi naszymi myślicielami zajmują się już tylko poszczególne jednostki. Trochę chudych monografij o tym czy innym filozofie, kilka poważnych lecz przez nikogo nie czytanych prac — i koniec. Kropka.

W solidnym **„Leksykonie"** Trzaski, Everta i Michalskiego znajdziemy nazwiska drugo- i trzeciorzędnych filozofów niemieckich, francuskich, angielskich... Ale poszukajmy Floriana Bochwica (1799—1856). Nie ma. Jakby nigdy nie istniał albo jakby nie miał najmniejszego znaczenia.

To charakterystyczne. Temu więc Bochwicowi, któremu Leksykon poskąpił dwu bodaj wierszy druku, Mirosław Starost poświęca swoją wcale obszerną książkę. Życiem Bochwica nie zajmuje się wcale; zajmuje się wyłącznie jego myślą. Ale i ta nie jest ostatecznym celem tej pracy. Ambicje autora są rozleglejsze; Bochwic służy mu niejako za ilustrację. Starost chce wprowadzić czytelnika w psychosferę tego niezmiernie ciekawego, bogatego i samordnego zjawiska, jakim jest tzw. mesjanizm polski — o którym nasz ogół ma bardzo mgliste wyobrażenie. Oto co pisze Starost na ten temat (str. 273):

„Nic nie jest kreacjonizmowi bardziej przeciwne, jak z gruntu błędna idea „narodu wybranego", w jakiejkolwiek interpretacji. I jest paradoksem, nieprawdopodobną, ale smutną prawdą, że powierzchowni krytycy mesjanizmu tę właśnie błędną ideę naiwnie uważają za — prawdziwy mesjanizm. Tymczasem nie ma nic, ale to nic wspólnego mesjanizm prawdziwy, zwany też kreacjonizmem, z pseudo-mesjanizmem, mesjanizmem fałszywym. Chyba to tylko, że jak długo istnieje, za wszelką cenę chce się od niego odżegnać, toczy z nim zaciekłą walkę o plagiat, o swe imię, o nadużycie dobrej firmy do mętnych koncepcyj i celów. Dochodzi do tego, że współcześni badacze mesjanizmu, znużeni już ciągłym rozplątywaniem i wyjaśnianiem bez końca ciągnących się nieporozumień, powstałych na skutek nadużycia słowa „mesjanizm", jako pokrycia bądź to dla mistycznych fantasmagoryj, bądź też naiwności w rodzaju „narodu wybranego", powoli zaczynają porzucać zbyt ośmieszony (choć niesłusznie ośmieszony!) termin „mesjanizm" i zastępują go obecnie innym, nowszym — „kreacjonizmem". ... Etap pseudo-mesjanizmu, to koncepcja Towiańskiego i Mickiewicza — wybranego narodu polskiego (elitaryzm cierpienia i pokory)... Dlatego gdy dziś nazw „mesjanizm" (prawdziwy) i „kreacjonizm", jako mający identyczny zakres, używamy zamiennie, to oznaczamy nimi tylko i wyłącznie racjonalizm filozoficzny, światopogląd, którego współtwórcami byli następujący myśliciele: Bochwic, Brzozowski, Cieszkowski, Gołuchowski, Kremer, Królikowski, Leszczyński, Libelt, Mochnacki, Szaniawski, Szczepanowski, Trentowski, Wiszniewski, Wroński, oraz wieszcze: Krasiński, Norwid, Słowacki, Wyspiański".

Starost zamierzył sobie wydzielić i jasno przedstawić ogólne idee tego specyficznego polskiego poglądu na świat — idee tak ogólne, że można je przypisać każdemu z wyżej wymienionych twórców, którzy przecie różnią się między sobą niezmiernie. Ta ogólność siłą rzeczy odbiera im precyzję. Świadomie więc użyłem terminu „psychosfera". O systemacie filozoficznym w ścisłym tego słowa znaczeniu nie może tu jeszcze być mowy. Recenzja niniejsza nie jest artykułem o Bochwicu; jest artykulikiem o książce Starosta. Staramy się zdać sobie sprawę z intencji i zamierzeń autora; ciekawie śledzimy, jak się zabrał do rzeczy i w jakiej mierze osiągnął powodzenie. Starost pisze piękną, staranną polszczyzną. Na szczęście to piękno nie ma nic wspólnego z poetyzowaniem, ze stylem kwiecisto-przenośnym i alegorycznym, który w pracach naukowych jest nie do zniesienia. Myśli jasno, wyraźnie — jasno też i wyraźnie pisze. Ma francuskie poczucie eurytmii. Świeżo zdarzyło mi się słyszeć odczyt wybitnego angielskiego literata o sztuce przekładania. Prelegent stwierdził, że dobry tłumacz, przekładając z niemieckiego na angielski, ma poczucie, iż wprowadza jakiś ład w chaotyczne kłębowisko; gdy natomiast tłumaczyć z francuskiego, ma przykre wrażenie, iż mimo wszelkich wysiłków zatraca coś z francuskiej precyzji. Starost — powtarzam — zbliża się do ideału francuskiej klarowności. Umie zachować umiar. Unika przesady. Nie wpada w zachwyt i superlatywy. Ilekroć zachodzi potrzeba, sprawiedliwie uznaje: tu Bochwic wyraża się mętnie, to a to jest naiwne, to a tamto jest nieporadnie wysłowione. Starannie rozplanował sobie materiał i nie wykracza poza ustalone granice. Włożył maximum trudu własnego, aby trudu zaoszczędzić czytelnikowi.

Od tego ułatwiającego sposobu pisania nieodłączne są pewne niebezpieczeństwa. Są rzeczy, których nie podobna ułatwić bez reszty, które póty nie wejdą w nasz inwentarz duchowy, póki ich samodzielnym trudem nie przetrawimy do dna. Innymi słowy, są rzeczy, których nie można się nauczyć, dowiedzieć się o nich: które trzeba w sobie dosłownie stworzyć. To właśnie jest „trudne", nawet to właśnie jest jedyna trudność. Ale to jest piękne i nieuniknione. Czasem lekkość ujęcia nastręcza czytelnikowi pokusę do prześlizgiwania się nad sprawami, w gruncie rzeczy nie rozwikłanymi jeszcze. Widzę u Starosta rzetelny wysiłek, by nie wpaść ani na Scyllę nieprzystępności, ani na Charybdę powierzchowności. Udaje mu się to często, nie zawsze. Właściwie, Scylli unika ustawicznie; Charybdy — tylko najczęściej. Może pamiętał o słowach, które mnie kiedyś trochę ubawiły, więcej zmartwiły swą słusznością — słowach, które Januszewski odpisał Słowackiemu, gdy ten mu posłał któreś swoje dzieło: „Szlachta nie zrozumie!".

Poruszając kolejne zagadnienia, Starost wielokrotnie zestawia myśl Bochwica z poglądami długiego szeregu innych myślicieli polskich i obcych. Choć to właściwie nic prawie nie dodaje do zrozumienia samego Bochwica, dla czytelnika jest to bardzo ciekawe i pouczające. Zwłaszcza że autor i tu zachował rozsądny umiar. Wcale się nie ma wrażenia jakiegoś popisywania się erudycją. Z własnego doświadczenia wiem, jak trudno jest nie posłużyć się przygotowaną w tece „fiszką"; Starost na ogół potrafił oprzeć się takim pokusom. Balastu nie daje. Odznacza się wybitnym bon sens. Czasem umie w kilku dobitnych słowach trafnie zamknąć niełatwą wcale sprawę — na przykład gdy mówi o mistycyzmie, że jest to gra wyobrażeń w dziedzinie, w której dopuszczalne są tylko pojęcia właśnie, a nie wyobrażenia.

Wydaje mi się słowem, że co sobie zakreślił, temu sprostał. Czy powinien był pokusić się o coś więcej jeszcze? To już kwestia inna i o wiele zawilsza. Naturalnie, śmieszną byłoby rzeczą upominać się od autora o coś, co mu bynajmniej nie przyświecało; wszak obowiązkiem recenzenta jest tylko zweryfikować, czy do danego celu zostały użyte odpowiednie środki. Lecz z drugiej strony, podtytuł książki brzmi: „Wprowadzenie do zagadnień polskiego poglądu na świat". Otóż, po pierwsze, czy ten „polski pogląd na świat" istnieje? Po wtóre, jeśli istnieje, to czy nas doń Starost — swoją książką o Bochwicu — wprowadza rzeczywiście?

Odpowiedź na pierwsze pytanie jest tak bardzo zależna od różnych punktów widzenia, że nieuchronnie rozpływa się w nijakości. Bo punkt widzenia może być konstatujący albo intencjonalny; historyczny albo prospektywiczny; można się tego poglądu doszukiwać bądź w dziejotwórczym instynkcie narodu, bądź w świadomych celach kierowników, bądź w teoretycznej myśli niewielkiego grona filozofów. Osobiście sądzę, że dla Starosta ów polski pogląd na świat jest jakby spopularyzowanym synonimem „filozofii absolutnej", której autorem jest Hoene-Wroński. Tylko on jeden dał zupełnie wykończony, zwarty, doskonale spoisty system at. Inni nasi myśliciele — nie wyłączając nawet najbardziej z nich systematycznego, Trentowskiego — są tylko jakby rozstrzelonymi wiązkami tych i owych zbieżności.

Otóż na pytanie, czy autor omawianej tu książki wprowadza nas do owego systematu, czy przygotowuje nas doń adekwantnie — byłbym skłonny odpowiedzieć przecząco. I spieszę dodać, że nie robię mu z tego zarzutu. Ultra posse nemo obligatur. Starost niemógł dać książki, która jednocześnie czyniłaby zadość dwom bardzo przeciwstawnym tendencjom umysłowym.

Pierwszą z tych tendencji można by zobrazować tak. Chcę zrobić bukiet; chodzę po ogrodzie, rozglądam się. Ten kwiat mi się podoba — zrywam go i włączam; tamten nie — więc go nie biorę. Druga postawa — to chęć dowiedzenia się wszystkiego o jakimś kwiecie. Badam go więc wszechstronnie, aż do korzenia; nie uspokoję się, zanim go dobrze nie „pojmę". Nie należy tego utożsamiać po prostu z tendencją syntetyczną i analityczną; jest to coś znacznie więcej. Już w szkole jeden uczeń (najczęściej... uczennica) zapamięta sobie na słowo, iż liczba pomnożona przez ułamek zmniejsza się, i nie bez pewnego zdziwienia będzie o tym pamiętał aż do śmierci. Drugi typ ucznia zechce przekonać się dogłębnie, czy i dlaczego tak jest. Pierwszy uczeń umie, drugi wie. Nie przesądza to zresztą o odnośnym stopniu inteligencji.

*) Mirosław Starost **„Filozofia pracy i narodu"**. Wprowadzenie do zagadnień polskiego poglądu na świat. 287 str. — Oficyna Wydawnicza. Katowice 1946.

Przewodnik literacki i naukowy

Wznowienie **Przewodnika Literackiego i Naukowego** *), którego pierwszy podwójny numer pojawił się na półkach księgarskich, stanowi poważny krok naprzód w odbudowie naszego życia kulturalnego.

Czasopismo, które ukazało się obecnie jako pokaźnej objętości kwartalnik, daje metodycznie opracowany przegląd polskiej produkcji wydawniczej w formie nawiązującej do tradycji przedwojennej, tj. zwartej **rzeczowej informacji.**

Składa się na nią — poza dokładnym opisem bibliograficznym i ceną — zwięzła notatka, tzw. fachowo **adnotacja,** zawierająca charakterystykę książki: jej treść, względnie temat bądź zagadnienie, sposób ujęcia wzgl. metodę opracowania, stronę zewnętrzną, stopień trudności, czasem przydatność dla tego czy innego celu.

Ten właśnie rzeczowy charakter adnotacji, której zadaniem jest wydobycie cech indywidualnych książki w formie możliwie bezosobowej i bezstronnej, wyznacza czasopismu swoistą i ważką rolę — rzetelnego i powciągliwego pośrednika między światem książek a światem czytelników. Pośrednika, który — starając się nie narzucać sądów, z natury rzeczy zawsze subiektywnych — ułatwia zorientowanie się w narastającym gąszczu wydawnictw i dopomaga w doborze książek odpowiadających potrzebom zarówno indywdualnym jak i zbiorowym.

Nadany czasopismu charakter informacyjny umożliwia też objęcie w tak szerokim zasięgu piśmiennictwa z różnych dziedzin i na różnych poziomach trudności: od książeczki dziecinnej i broszurki popularyzacyjnej dla początkujących czytelników po wartościową beletrystykę, podręcznik zawodowy i pracę naukową na poziomie uniwersyteckim.

Wydany obecnie tom, obejmujący produkcję półroczną drugiego i trzeciego kwartału 1946 r., zawiera 630 pozycji. Obfity ten materiał podany jest w układzie systematycznym (sklasyfikowany systemem dziesiętnym), przy czym każdy dział zaopatrzony jest w zwięzłe wprowadzenie. Całość zaopatrzona jest w treściwą przedmowę, która powinna być dokładnie przeczytana w interesie korzystających z „Przewodnika", w spis treści, wyjaśniający układ materiału, oraz skorowidze alfabetyczne autorów i działów.

„Przewodnik", opracowany przez zespół bibliotekarski, który w dorobku przedwojennym ma szereg powszechnie znanych podstawowego znaczenia wydawnictw bibliograficznych, odda duże usługi nie tylko różnego typu bibliotekom, księgarniom i placówkom oświatowym i kulturalnym, lecz również wszystkim, którym nie obojętny jest świat **książki.**

*) **„Przewodnik Literacki i Naukowy".** Kwartalnik. Rok III 1946. Nr 1—2. Wybór wydawnictw z okresu 1.V—1.X 1946. W-wa. Wydział Książki i Czytelnictwa Lud. Instytutu Oświaty i Kultury 8° s. 160, cena zł 200.

Po prostu, pierwsza postawa jest raczej literacko-humanistyczna, druga — filozoficzno-matematyczna. Obydwie są jednako możliwe. Niestety tylko druga daje niezachwiane, archimedesowe, obywające się bez fanatycznej w i a r y, oparcie dla światopoglądu.

Umysłowość polska jest bardzo lotna, bardzo chwytna i pojemna; lecz mało cierpliwa, niezbyt dociekliwa na ogół. Zdajemy się mówić: Powiedz mi krótko i zwięźle, co masz do powiedzenia; jeśli mi to dogodzi, chętnie ci uwierzę na słowo, podpiszę twoje twierdzenia, tylko na miły Bóg oszczędź mi nudnych dowodów. Zlituj się, nie udawadniaj mi na przykład, że ja sam istnieję, i że istnieje świat, bo to już dawno spostrzegłem bez ciebie!

Słowem, żywo interesują nas poglądy, zapatrywania, opinie; odnosimy się do nich z sympatią lub antypatią; budujemy sobie z nich, jak z różnorodnych klocków, dość chwiejne gmachy; potem drżymy, by nam ich kto nie zwalił kłopotliwymi argumentami; toteż z góry podejrzliwie albo i wręcz nienawistnie traktujemy każdego oponenta.

Szczerze podziwiam wzniosłą i ujmująco szlachetną myśl takich ludzi jak Bochwic, Cieszkowski, Gołuchowski; uważam, że ich dzieła są w najwyższym stopniu godne poznania; cieszę się z ułatwiającej nam to książki Starosta. Niemniej przeto obstaję, że ich doktryny — są to na razie tylko zbiory (zresztą dobrze uporządkowane) poglądów, i jako takie mogą przekonać tych jedynie, którzy już mają do tego predyspozycję; nie potrafią atoli wywalczyć sobie uznania u kogoś, kto posiada — przynajmniej na pozór niemniej dobrze uporządkowany — zbiór przekonań przeciwnych.

Weźmy na przykład chwilę bieżącą. Czy należy stwierdzić, że „polski pogląd na świat" mieści się w ramach katolicyzmu? czy katolicyzm — w ramach polskiego poglądu na świat? czy wreszcie — ani jedno ani drugie? Każda odpowiedź może znaleźć swoich, rozumnie argumentujących, rzeczników.

Staram się wżyć w stan umysłowy przeciwnika tej doktryny, którą interpretuje Sarost. Przeciwnik ten powie mniej więcej:

— Mówicie mi o celowości świata. Ale czyście mi ją udowodnili? Zdaje mi się, że wiele świadczy przeciwko niej. Mówicie mi o Bogu, jako o niewzruszonym pewniku. Mam cześć dla tej wielkiej idei, cóż kiedy mój rozum nie zmusza mnie do jej przyjęcia. Mówicie mi o nieśmiertelności duszy; ja nie znajduję żadnych dowodów na to, by owa domniemana dusza mogła istnieć niezależnie od fizycznego organizmu.

I tak dalej i tak dalej. Okoliczność, że opinie „polskiego poglądu na świat" są rzeczywiście zdolne uszlachetnić człowieka, dać niejaką podstawę jego wierzeniom, nadać kierunek jego altruistycznym dążnościom — jeszcze nie dowodzi ich niezachwianej prawdziwości. Można w nie uwierzyć, można nie uwierzyć.

Zaiste kopernikańskim n o v u m polskiej filozofii absolutnej, novum, które uzasadnia nawet tak zdawałoby się pretensjonalną, nazwę jak „absolutna", jest odkrycie **pierwszych zasad rozumu** i wyprowadzenie z nich spoistego systematu wszelkiej rzeczywistości abstrakcyjnej i konkretnej. Jest to systemat, który do głębi zanalizował podstawy sceptycyzmu i — rozumowo go uniemożliwił.

Wszystko to jest do dowiedzenia, wszystko to nie wymaga od odbiorców żadnych genialnych zdolności, ale wymaga długiej, systematycznej, konstruktywnej pracy umysłowej, do której Polacy nie mają na ogół predylekcji. Można wątpić nie tylko o celowości, lecz i o przyczynowości; nie podobna rozumnie wątpić o pierwszej zasadzie folozofii absolutnej, jaką jest **warunkowość,** bo nawet żeby o niej wątpić, trzeba by swe wątpienie jakoś uargumentować czyli właśnie uwarunkować. Z warunkowości dedukuje się bezwzględnie wszystko, a więc w pierwszym rzędzie również autonomię i heteronomię naszego rozumu. Kiedy się dogłębnie pojmie, na czym polega absolutność a na czym względność, co to jest stwórczość rozumu i co osobowość, wówczas przestanie być mistyczną mrzonką i — dla Boga — osobowego i absolutnego rozumu stwórczego. Kiedy się porządnie zbada naturę bytu i wiedzy, od razu odsłoni się fałszywość jednostronna materializmu ale i idealizmu. Gdy pojmiemy, że materia jest rzeczywistością, poznawaną w drodze biernej reakcji, a nie twórczej kreacji, przestaniemy nazywać ją złudą; ale też nie będziemy, jak to czynią materialiści — upatrywać w niej jedynego źródła rzeczywistości. Ludzkość od wieków mówi wciąż o życiu i o śmierci; życie znamy doświadczalnie, śmierci doświadczalnie nie znamy, więc cóż pewnego możemy o niej twierdzić? Owóż trzeba najpierw zbadać, jakie są w ogóle warunki pewności i prawdy; następnie zrozumieć, co to znaczy zewnętrzny a wewnętrzny byt wiedzy: wówczas zagadnienie śmierci również przestanie być dziedziną mistycznych domysłów. Interpretując Bochwica, Starost powiada bardzo słusznie, że wolność nie jest bynajmniej synonimem możności wyboru. Lecz jeśli nie ma to być tylko pogląd **à prendre ou à laisser,** trzeba do gruntu zrozumieć, że dobro — to stan bytu, o którym rozum orzeka, iż tak być powinno; wówczas wolność jawi nam się jako możność stałego opowiadania się za dobrem, wcale zaś nie jako możność wyboru pomiędzy dobrem a złem. Inny przykład: Jeżeli poprzestaniemy na samym tylko Bochwicu, nawet z dodatkiem tego co nam o nim mówi książka Starosta, świat transcendentny, absolutny, w dalszym ciągu będzie nam się przedstawiał niby coś gotowego, do czego człowiek po prostu szuka wstępu; oczywiście nie taki jest prawdziwy punkt widzenia kreacjonistyczny. Stosunek „ciała" do „duszy" w dalszym ciągu pozostanie dość nieokreślony, ciało będzie czymś z zewnątrz dodanym, bez czego można by się ostatecznie obejść gdyby Stwórcy spodobało się inaczej świat zorganizować. Nie zostało powiedziane nic, co by pojęciu nieśmiertelności odjęło jego wyłączną religijność. Starost często i bardzo celnie przytacza różne najświeższe odkrycia naukowe, dziwnie się zbiegające z dawno wygłoszonymi zapatrywaniami naszych myślicieli; stwierdza z zadowoleniem, że przed pięćdziesięcioma czy stu laty rozbieżność była daleko większa. Ale czytelnik ma ochotę zapytać: no dobrze, ale kto mi zaręczy, że za dalsze sto lat rozbieżności znów się nie spotęgują?

Uparcie powtarzam: taki jest los poglądów, opinii, zapatrywań. Rozum dzisiejszego człowieka namiętnie łaknie pewności. Mamy przekonanie, iż polska filozofia absolutna daje mu po temu środki. Tego Starost w swej książce nie wydatnił moim zdaniem dostatecznie. Może to uczyni w następnych swoich pracach; oby.

Na razie konstatujemy: książka należy do rzędu tych, nad którymi czytelnik się zastanawia i za które czuje wdzięczność. Jest zupełnie pozbawiona demagogii; autor śmiało formułuje wszelkie swoje ceterum censeo, nie stara się nikomu przypodobać. Pisze przejrzyście i przystępnie. Niesystematycznej doktrynie Bochwica nadał pewną systematyczność przez bardzo planowy układ. Książka jest raczej „kwiatobraniem" niż „dokopywaniem się korzenia"; toteż u dociekliwego czytelnika pozostawia pewien niedosyt; zapewne, lepsze to niż przesyt. Czekamy ciekawie następnych prac.

Cz. Jastrzębiec Kozłowski

Mój Faust

(Dokończenie ze str. 3-ej)

raczej niż wspieraną kilku chwytami zabawnej fizyki, zawsze tej samej. Czekaj, pozwól mi mówić do Ciebie. Podczas gdy ty spoczywałeś w lenistwie Twej wieczności, na procederach roku I-go, umysł ludzki, któremu sam dodałeś wigoru, doszedł do tego, że zaatakował doły stworzenia. Wyobraź sobie, że ludzie znaleźli w głębi ciał i jakby poza ich realnością stary chaos.

M.: — Chaos? Ten, który ja znałem? Niemożliwe.

F.: — Można będzie pokazać Ci to.

M.: — Chaos!

F.: — Tak, Chaos! Stary Chaos, pierwszy nieład w nienadających się do wypowiedzenia sprzecznościach, których przestrzeń, czas, światło, możliwość, zarodki leżały w dziedzinie przyszłości.

M.: — Odnaleźli Chaos! Byłem Archaniołem!

F.: — Rozpoczęli nawet po omacku dotykać zasadniczych podstaw życia. Posłuchaj dalej: odtąd umieją już nie błąkać sie w swych myślach. Zrozumieli, że intelekt pozostawiony sam sobie prowadzi tylko do błędu i że trzeba nauczyć się podporządkowania go doświadczeniu. Cała ich wiedza sprowadza się do dobrze udowodnionych działań. Mowa jest już czymś ubocznym. Posłuchaj jeszcze: to, co ludzie odkrywają, nie jest podobne do tego, co wyobraźno sobie niegdyś. Nic już nie pozostało z prawdy czy też z bajek, które mieli z najdawniejszych czasów.

M.: — To straszne.

F.: — Widzę, że zaczynasz się wzruszać. Jest to wrażenie dla mnie ważne, gdyż zamierzam ci pokazać to wszystko z bliska.

M.: — I pannę...

F.: — Owszem, chcę obserwować, i chcę, żeby ona zanotowała dla mojego wielkiego dzieła reakcję diabła na wszystkie irytujące zjawiska, które wywoła niewątpliwie w umyśle piekielnym zobaczenie nowej epoki. Pomyśl, pomyśl, szatanie, że ta nadzwyczajna zmiana może dosięgnąć i Ciebie w twej groźnej osobie. Los samego zła waży się w tej chwili. Czy wiesz jaki może być koniec duszy? Dusza, która była dla każdego wszechpotężnym uczuciem o wartościach niezrównanych i niezniszczalnych, która była niewyczerpanym pragnieniem oraz potęgą użycia, cierpienia, bytu, której nic nie mogło zmienić, jest teraz zdewaluowanym walorem. Jednostka umiera, topi się w liczbie. Różnice znikają wobec nagromadzenia się istot. Występek i cnota są tylko niedostrzegalnym zróżniczkowaniem, które rozpływa się w masie tego, co ludzie nazywają „materiałem ludzkim". Śmierć jest tylko jedną z właściwości statystycznych tej wstrętnej żywej materii. Traci ona swą godność i klasyczne znaczenie. Nieśmiertelność duszy podziela z konieczności los śmierci, która ją określała i dawała jej sens oraz nieskończoną cenę.

M.: — Mówisz okropności.

F.: — Mówię o tym, co się dzieje. Nic z mojego ja nie przebija w tym wszystkim. Ale trzeba było wyjaśnić ci to, co jest, ażeby Cię ostatecznie skusić.

M.: — Dokończ. Weź moje rogi po tej zniewadze. Zresztą otrzymasz wkrótce twoje własne, mój profesorze.

F.: — Nie ma czasu na żarty. Kończę już. Czy jesteś zupełnie pewny, mój diable, że twoje arcywybitne miejsce zachowasz wiecznie, że Tam na Górze nie myślą, iż jesteś agentem, którego gorliwość chłodnie, który nie odnawia swych metod, który mało daje? Twój urząd jest najważniejszy w Administracji Najwyższej Sprawiedliwości. Ale być może nie cieszysz się już tym samym zaufaniem. Nie jest powiedziane, że nie znajdzie się nigdy kogoś gorszego.

M.: — Mój drogi, nie zastępuje się tak Pierwszego Archanioła. Upadłem, ale bardzo z wysoka (ukazuje się oświecony przez chwilę blaskiem fioletowym).

F.: — Bez wątpienia. Ale gdy poznasz lepiej dzisiejszych śmiertelników, wówczas zrozumiesz. Cały system, którego byłeś jedną z zasadniczych części, jest już w ruinie i rozkładzie. Musisz sam przyznać, że czujesz się zdezorientowany i jakby wytrącony z równowagi pomiędzy nowymi ludźmi, którzy grzeszą nie wiedząc o tym, nie przywiązując do tego wagi, którzy nie mają pojęcia o Wieczności, którzy dziesięć razy dziennie ryzykują życie, ażeby korzystać z nowych maszyn, którzy robią tysiące sztuczek, o których twoja magia nigdy nie marzyła, a które są do dyspozycji dzieci a nawet idiotów. I którzy tworzą tymi cudami niepojęty ruch w interesach.

M.: — Czy robią złoto?

F.: — Wkrótce. Zresztą nawet złoto umiera. Ludzie otrzymują metale sto tysięcy razy kosztowniejsze.

M.: — Co! złoty cielec...

F.: — Jutro będzie wart mniej niż zwykłe cielę.

M.: — Czy wskrzeszają umarłych?

F.: — Nie mają najmniejszej chęci na to.

M.: — Dlaczego? To wielka gra.

F.: — Ponieważ uważają, że na każdego kolej i ponieważ wskrzeszeni zajęliby ich miejsce.

M.: — Ah. Oni są dziś silni. Obawiam się, że zrozumieli. To ważne. Oh, widziałem w mym specjalnym promieniu, że wszystko szło... do diabła. Ludzie nawracają się, psują się, wracają do spowiedzi, ażeby żenić się lub pisać książkę. Przechodzą przez religie jak przez papierowe księgi. Każą się chrzcić w Indiach, ażeby dostać posadę, w Parvżu, ażeby wejść do Akademii, żenią się, rozwodzą, żenią się na nowo, tak że Kościół traci głowę wśród unieważnień małżeństw mieszanych, między prawdziwymi i fałszywymi panami młodymi. Kościół nie wie już, gdzie są nałożnice, małżonki, spełnione i niespełnione małżeństwa. Ah, mają kłopoty w Rzymie. Co do mnie jestem zmuszony przerobić moje prawo kanoniczne zwłaszcza z Amerykanami, którzy mają duże środki, to jest prawdziwie przerażające.

F.: — Biedny diabeł!

M.: — Tak, ale również biedni ludzie. Zło było tak piękne niegdyś. Byłem jego Inteligencją i Księciem. Ból, przyjemność były to dwie strony lutni, na której grałem jak Orfeusz.

F.: — Piękna nie ma już. Zło upodliło się. A więc... należysz do mnie. Widzisz co cię czeka, jeżeli zostaniesz starym diabłem o starych trykach. Na Górze będą Cię uważać za niewystarczającego, będziesz nadawać się tylko do ładowania na ruszty w głębi piekła. Tu pozostawisz pamięć tylko w teatrze Guignol.

M.: — Z tym wszystkim być może, że jestem do niczego. Być może opieram się na fałszywej idei.

F.: — Jakiej?

M.: — Że ludzie nie są dostatecznie złośliwi, ażeby gubić się sami, własnymi środkami.

F.: — Istotnie nie widzę nic coby dawało Ci rację. A więc decydujesz się?

M.: — Dobrze. Niech będzie. Podpisuję (odkrywa ramię bardzo owłosione).

F.: — Bez głupstw. Bez krwi. Dziś to tylko formalność terapeutyczna. Koniec już z papierami i podpisami. Pisma ulatują prędzej niż słowa, które fruwają w świetle. Nikt ich nie chce. Więc porozumieliśmy się. Zawołam pannę.

M.: — Zbyteczne. To zrobione. Przybiega zadyszana. Mam jeszcze kilka sztuczek w mym worku. Czy słyszysz ją?

Przekład
Kaliksta Morawskiego

Sala z górnym oświetleniem w gm. Instytutu Lubelskiego. Marzec — kwiecień 1939 r. Wystawa obrazów Zenona Kononowicza.

(Patrz artykuł na str. 10-ej)

GUSTAW PRZYCHOCKI

Śp. Prof. dr Gustaw Przychocki

W początkach lutego b. r. zmarł w Krakowie prof. dr Gustaw Przychocki, znakomity uczony w zakresie filologii klasycznej. Wiadomość ta przejęła żałobą świat kulturalny, a szczególnie jego uczniów. Wyjątkowo bowiem był kochany przez młodzież akademicką, swych doktorów i docentów. Jako uczony, świadomy swego kunsztu i wiedzy, stworzył całą szkołę chlubnie już owocujących młodych jego następców. Okresem szczególnie płodnym w zakresie twórczości naukowej i dydaktycznej był okres warszawski, od roku 1921. W tym okresie kilkunastu lat stworzył swą monografię o Plaucie, tłumaczył Plauta na jęz. polski i budował zakład filologii klasycznej w Uniwersytecie Warszawskim. Jego osiągnięcia w zakresie Plauta: monografia o Plaucie i 4 tomy przekładów plautyńskich, wydane przez Akademię Umiejętności, są bardzo poważnym dorobkiem nauki polskiej, mogącym pójść w zawody z najpoważniejszymi publikacjami światowymi w tym zakresie. Co jeszcze godne jest podkreślenia w jego badaniach nad Plautem: oto opierają się one nie tylko na wiedzy, ale i na znakomitym wyczuciu teatru oraz wybornej jego znajomości. Czuł on doskonale to, co nazywamy „vis comica". Dzięki tym walorom praca o Plaucie ma szczególną wartość wśród wielu innych prac zagranicznych, bardzo uczonych, ale pozbawionych tego nerwu wewnętrznego: wyczucia komediowego i znajomości teatru.

Rzetelność pracy naukowej, ścisłość, szeroki zasięg i europejski charakter badań prof. dr G. Przychockiego były owym kamieniem węgielnym, na którym opierało się zaufanie doń młodzieży. Uniwersytet Warszawski miał wówczas na katedrze hellenistyki sławę wszechświatową, prof. dra T. Zielińskiego. Jednak duszą, zakładu filologii klasycznej był prof. G. Przychocki. On dawał metodę pracy i organizację studiów. Poziom zaś wymagań był bardzo wysoki. Dzięki umiejętności stworzenia atmosfery pracy metodycznej i ścisłej, a jednocześnie pełnej entuzjastycznego umiłowania przedmiotu oraz ceremoniału filologicznego doprowadził swoje seminarium do wsokich osiągnięć i żarliwości naukowej, która jest twórczym podłożem wszelkich badań.

Czarujący w życiu prywatnym, niezmiernie dowcipny na wykładach, ćwiczeniach, a jednocześnie władczy w swych bezwzględnych wymaganiach stanowił jedną z najciekawszych osobowości profesorskich w owym czasie w Uniwersytecie Warszawskim. Łączył bowiem walory uczonego z talentem dydaktycznym i wysokim zmysłem organizatorskim. Duszą całą oddany był swoim uczniom, których pamiętał latami i z całych sił zawsze popierał. Po powrocie do Krakowa, po roku 1930, stopniowo sylwetka jego duchowa ulega zmianie. Kontynuuje bardzo interesujące i zupełnie oryginalne badania w zakresie początków dramatu rzymskiego, które już były przedmiotem wykładów jego w Warszawie oraz wraca do swoich studiów nad ojcami kościoła. Przejścia wojenne nie złamały go wewnętrznie, lecz bardzo pogłębiły wprowadzając akcent silnego uczucia religijnego. Straszliwą chorobę, nad wyraz bolesną, umiał znosić z najwyższym hartem i dostojeństwem. Należał do ostatniej chwili do owych bojowych filologów, którzy służą swej idei nie tylko pracą naukową, ale wszelką formą obrony ideałów antycznych. Na zjeździe łódzkim, poświęconym reformie szkolnictwa, przedstawił swój memoriał, broniący stanu posiadania łaciny w szkole średniej w sposób bardzo gorący i kategoryczny. Drugi to już raz w swym życiu bronił łaciny, bo już za czasów min. Łopuszańskiego razem z prof. J. Kleinerem uratował łacinę w szkole średniej.

W sposób równie metodyczny, jak pracował, rozporządził swą spuścizną naukową, niewykończone prace rozdzielił między swych uczniów, wiedząc dobrze, że nie zaniedbają spełnić jak najwierniej jego woli. Harmonijność szlachetnej osobowości — uczonego i człowieka — wysoka dystynkcja osobista, podniosły ton wewnętrzny, siła moralna w najcięższych chwilach życia, a przy tym głęboka uczciwość — oto rysy, które napełniają nas podziwem i pietyzmem u stóp jego trumny.

Janina Pliszczyńska

Ceramika Urzędowa

W ludowym przemyśle zdobniczym w Polsce ceramika zajmuje jedno z najważniejszych miejsc. Bolimów, Podhale, Polesie czy Prużany dostarczają wzorów naczyń o pięknej formie lub ciekawej ornamentyce. Dzięki działalności Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego i jego oddziałów w całym kraju popularyzowano przed wojną dość intensywnie naszą prymitywną ceramikę a formy jej i ornamentyka zwracały powszechną uwagę.

Znany jest np. z Łążka w Lubelszczyźnie hładysz, dzban z kołnierzem, jak paw pyszny i kolorowy. Albo — poleskie urocze mamzelki do noszenia jagód i służące w kuchni, pełne powagi odyńce.

W Lubelskim posiadamy też szereg ośrodków garncarstwa ludowego, jak Baranów, Bidaczów, Firlej, Łążek, Michów, Pawłów i inne. Jednym zaś z ciekawszych a mało jeszcze znanych — jest niewątpliwie Urzędów, położony w powiecie janowskim. Ceramika z tego ośrodka rozwinęła się głównie w kierunku formy. Dzban czy garnek o czerepie czerwonym, t.j. wykonany w glinie po wypaleniu czerwonej, polewany przeważnie na zielono, ornamentowany linijnie przy pomocy nożyka garncarskiego, z uchem o przemyślanej wygodnej użytkowo formie, jest przede wszystkim charakterystyczny dla tego właśnie ośrodka. Malowanych ornamentów nie spotyka się w tej mocnej jak żelazo ceramice w odróżnieniu od kruchej, delikatnej malowanej pobiałką ceramiki np. z Pawłowa, popularnie zwanej porcelaną lubelską.

Garncarze z Urzędowa wyroby swoje a więc garnki i dzbanki ujmują w tzw. klucze i nazywają podobnie jak w innych ośrodkach tego przemysłu ludowego. A więc powiadają: „z tego klucza wychodzi garnek co i dzbanek". Ich nazwy zależnie od wielkości są następujące: pniaczek, podpniaczek, osobliwy, kwartowy, półkwartowy a wreszcie najmniejszy garnuszek lub dzbanuszek kwaterkowy. Kopa garnków kwaterkowych palonych polewanych w roku 1939 kosztowała 4 zł. 80 gr.; nie palonych — 3 zł., tychże surowych — 1 zł. 50 gr. a za takież pniaczki tj. garnki największe płacono wówczas zależnie od stanu wykonania po 45 zł., — 25 zł. 20 gr. lub 15 zł. za kopę.*).

Poza wyrobami użytkowymi, powszechnymi w handlu jak garnki, dzbany i donice, można było spotkać w Urzędowie w domach garncarzy — robione wyłącznie na własny użytek w ostatnich latach przed wojną — inne przedmioty ozdobne w formie i ornamentowane, przeważnie o małych wymiarach, jak bukietniki, świeczniki, butelki na wodę święconą o kształcie obrączkowym a przede wszystkim urozmaicone w pomysłach kropielniczki domowe.

Typowa kropielniczka urzędowska składa się z tarczy i naczyńka. Kropielniczki bez tarcz w rodzaju kaszubsko-pomorskich nie są tam znane. Tarcze są różne: wydłużone, wielokątne, prostokątne o narożach niejednakowo ściętych lub owalne. Najstarsze dziewiętnastowieczne kropielniczki posiadają tarcze większe, dobrze zbudowane i bogatym wypukłym często ornamentem ozdobione. Kropielniczki współczesne odznaczają się zwykle tarczą mniejszą, uboższą w ozdoby, a na pierwszy plan występuje w nich naczyńko na wodę, które ma kształt wazonika, miseczki, garnuszka lub niskiej czarki u dwojaków o wydatnym brzuścu.

Podobnie jak garnki, modelując dno i ścianki z jednej bryły, kręci garncarz w Urzędowie na swoim bezsponowym krążku maleńkie naczyńka kropielniczek.

Kropielniczki bywają polewane na bronzowo, żółto lub zielono. Ich ornamentyka — to odcisk rozetki wielo gromiennej w kształcie koła przy pomocy drewnianej foremki albo najczęściej wzór linijny. Na tarczy — przeważnie pasyjka.

W porównaniu z danymi, jakie dochowały się z r. około 1900, liczba warsztatów garncarskich w Urzędowie obecnie zmniejszyła się. Z pracujących kiedyś 40-tu garncarzy pozostało dziś zaledwie kilkunastu. Zmniejszyła się znacznie i liczba pieców, których w roku 1892 zanotowano w Słowniku Geograficznym czternaście; w roku 1926 było ich już tylko siedem.

Wiktor Ziółkowski

*) Wyrobienie pieca trwa 15 dni. Do całego pieca potrzeba: 40 pniaczków (w tym jest 20 donic); 120 podpniaczków (w tym jest 60 donic); 180 — osobliwych i tyleż kwartowych oraz 210 — półkwartowych i tyleż kwartowych. Jest to piec większy. Są też w Urzędowie piece mniejsze.

Sale wystawowe w Lublinie

Lublin, posiadający katedrę Historii Sztuki w K.U.L.-u, komisję artystyczną Związku P. A. P. i jego członków czynnych, znanych artystów polskich, Szkołę Malarstwa i Rysunku, Muzeum Lubelskie z interesującym działem sztuki a przede wszystkim liczną młodzież i publiczność nie obcą dla spraw malarstwa, rzeźby i architektury — nie odzyskał dotychczas dawnych sal wystawowych. Wskutek tego nie ma tu warunków do organizacji wystaw sztuki i pokazów muzealnych a Związek P. A. P., oddział miejscowy, posiada wysoce utrudnioną działalność. Każda jego wystawa rzadko dziś zresztą urządzana, jest połączona z uciążliwym zdobywaniem lokalu. Zdobyta wreszcie i z konieczności użytkowana jakaś taka sala okazuje się zwykle źle oświetlona i nieodpowiednia.

Nie może w ogóle rozwijać się i Muzeum Lubelskie, bo również swych sal wystawowych, przed wojną dość obszernych i centralnie ogrzewanych, nie posiada dotychczas.

Już w roku 1938-39 miasto nasze było w tym szczęśliwym położeniu, że posiadało w nowym budynku przy ul. Narutowicza 4 wyjątkowo dobre wnętrza wystawowe, jedne z ładniejszych w Polsce. Korzystało z nich Muzeum zajmując całe I piętro, pokazy zaś Rady Wystaw Bieżących, działającej w ramach organizacji Instytutu Lubelskiego, mieściły się w trzech salach nowego budynku na II piętrze.

W dobrze oświetlonym i odpowiednio wyposażonym lokalu obchodzono w dniu jego otwarcia przed wojną święto artystyczne gólnokrajowe, a potem z zapałem urządzano stale opracowane starannie pokazy. W ciągu trzech niespełna kwartałów można było zwiedzać np. wystawy I.P.S.-u z Warszawy, plastyków miejscowych ze zbiorową Kononowicza, Leona Kowalskiego z Krakowa, pośmiertną, lub podziwiać jeszcze w sierpniu 1939 roku rysunki różnorodne artystów, przeważnie malarzy, z całej Polski. Muzeum Lubelskie posiadało równocześnie sale: etnograficzną, malarstwa polskiego i obcego, wnętrza muzealnego z XIX stulecia, przedmiotów zabytkowych związanych z historią Lublina i inne.

Obecnie, pomimo podejmowanych już od dłuższego czasu starań ze strony Muzeum i Związku Plastyków, nie udało się tych niezbędnych sal dla rozwoju kulturalnego Lublina odzyskać. Nie można bowiem jeszcze znaleźć u nas właściwego lokalu na pomieszczenie części zaledwie Archiwum Państwowego w Lublinie, które zajmuje przy ul. Narutowicza 4, niezależnie od lokalu macierzystego przy tejże ulicy pod Nr 10 całe drugie piętro z salami wystawowymi, ani też zająć dla czytelni i biura Biblioteki im. Łopacińskiegi, jak przed wojną, odpowiedniego lokalu parterowego. Lokal ten posiada do dnia dzisiejszego, ograniczone obecnie w swej działalności na terenie Lublina, Radio.

Biblioteka im. Łopacińskiego, użytkując własny 5-piętrowy nowoczesny magazyn zajmuje nadto lwią część pomieszczeń na I piętrze i w ten sposób hamuje działalność wystawową Muzeum, dla którego ta akcja jest najkonieczniejszą i pierwszoplanową, gdyż eksponaty w przepełnionych magazynach nie tylko swej roli społecznej i dydaktycznej nie odgrywają, ale też ulegają powoli zniszczeniu.

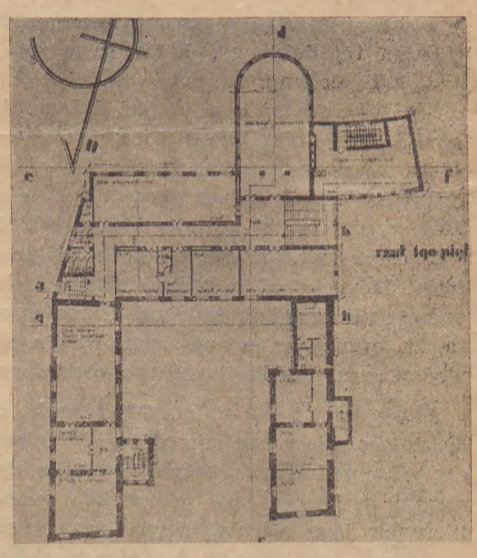

Rzut poziomy I p. gm Instytutu Lubelskiego z oznaczonymi wnętrzami muzealnymi, jak sala etnograficzna, hist.-artystyczna, pracownia fotograficzna, biblioteka muzealna i inne.

Reprodukujemy dwie fotografie z roku 1939. Uplastyczniają one naocznie: 1), iż Lublin posiada sale wystawowe tam, gdzie obecnie mieszczą się magazyny Archiwum Państwowego; 2), iż z góry planowano w nowym budynku wnętrza muzealne na tym właśnie piętrze, które jest jeszcze dotąd okupowane mimowoli przez Bibliotekę im. Łopacińskiego.

Sale przy ul. Narutowicza muszą w Lublinie spełniać rolę jakby małego Luwru czy galerii Narodowej i muszą być zaraz otwarte dla kontaktu sztuki ze społeczeństwem jak to zrobiono po zakończeniu wojny z Galerią w Londynie, gdzie zaczęto otwierać jedną salę za drugą nie czekając nawet na odnowienie gmachu.

Pożyteczne wydawnictwo

Nakładem Spółdzielni Wyd. „Książka" ukazała się cenna publikacja zbiorowa „Stylistyka teoretyczna w Polsce" pod redakcją Kazimierza Budzyka. Książka ta jest wznowieniem wydawnictwa „Z zagadnień poetyki" i zawiera najważniejsze rozprawy polskich uczonych poświęcone stylistyce.

Wstępne studium Kazimierza Budzyka „Zarys dziejów stylistyki teoretycznej w Polsce" stanowi pierwszą próbę historycznego i krytycznego ujęcia tego zagadnienia.

JERZY EUGENIUSZ PŁOMIEŃSKI

Debiut poety ludowego *)

Tomik E. Marca nasuwa szereg refleksyj natury ogólniejszej, wychodzących poza krąg tekstów jego wierszy, a dotyczących perspektyw poezji, względnie literatury ludowej, jej rozwojowych możliwości i jej stanu obecnego. Problematyka ta wentylowana obecnie głównie na łamach tygodnika łódzkiego „Wieś" (St. Lichański) nie jest bynajmniej nowa. Znajdujemy ją w innej skali i rozpiętości już u St. Witkiewicza (ojca „Na przełęczy"), który przewidywał nieuchronny proces urbanizacji wsi a wraz z ową urbanizacją zanik jej dotychczasowego charakteru autochtoniczno - regionalnego. Zagadnieniem tym zajmował się u nas, przed wojną, nawiązując do problematyki Witkiewiczowskiej, K. L. Koniński, autor pionierskiej poniekąd antologii pt.: „Pisarze ludowi" oraz wartościowego studium o literaturze ludowej niepozbawionego zresztą niedociągnięć i chwiejnych punktów metodologicznych. Dylemat, jaki się narzucał już w rozważaniach przedwojennych na marginesie literatury ludowej, wyglądał mniej więcej następująco: Literaturę ludową należy traktować, jako formację kulturalnie rezerwatową — ze stanowiska literatury ogólnopolskiej. Jej ewolucja dalsza przekreśli jej charakter rezerwatowy, i z chwilą, gdy literatura ludowa dorośnie pod względem poziomu artystycznego do charakteru literatury narodowej zatraci swój styl regionalny, swoje piętno klasowe. Zagadnienie to wiązano organicznie z zaznaczonym już przez starego Witkiewicza nieodwracalnym procesem urbanizacji wsi, na tle współrzędnych procesów historycznych, gospodarczych i kulturowych. Radykalniej traktują ten sam problemat, współcześni publicyści z grupy ludowej, skupionej w tygodniku społeczno-literackim „Wieś". (J. K. Król, Stef. Lichański).

Tomik Edw. Marca nastręcza pewne trudności z ustaleniem jego przydziału piśmienniczego. Marzec przekroczył już niewątpliwie poziom literatury ludowej. ludowego prymitywu poetyckiego, do którego krytyka literacka musi stosować inne probierze wartościowania, niż do zjawisk literackich typu pełnoartystycznego; młody poeta - debiutant nie stanął natomiast jeszcze na tym poziomie literackim, od którego zaczyna się prawdziwa poezja. Rozstał się wprawdzie z tradycyjnym niedokształceniem i naiwnością formalnego wyrazu w literaturze ludowej, nie potrafił jednak przetransponować zadawalająco ludowej tematyki, jak J. Kasprowicz, Wł. Orkan, czy przed nimi Maria Konopnicka, na poezję w pełnym tego słowa znaczeniu. Jest w jego wierszach sporo surowca, nieprzetopionego dostatecznie na pełny język poetycki, sporo chropowatych prozaizmów, wtłoczonych sztucznie w kształt mowy wiązanej. Tomikowi jego, niepozbawionemu zresztą, jak to zobaczymy niżej, pewnych wartości, raczej pozaformalnych, brak podstawowej cechy, która rozstrzyga o istocie poezji, — aury poetyckiej, klimatu lirycznego. Naturalnie, że sama forma a raczej jej doskonałość nie stanowi najistotniejszego warunku, od którego zależy stopień hierarchiczny poezji. Chropowate nieraz i szorstkie pod względem formalnym poezje Kasprowicza, nasycone mimo to, potężnym ładunkiem żywiołu poetyckiego, tak pokrewne swoim charakterem tu i ówdzie renesansowemu typowi artystycznego monumentalizmu Michała Anioła („Hymny" Kasprowicza) reprezentują wyżyny twórczości poetyckiej, podczas gdy chłodnym, posągowym, kunsztownie szlifowanym, podobnym do rzeźb miniaturowych wierszom polskiego neoparnasisty, Jana Pietrzyckiego, w których się czuje, mimo ich doskonałego kunsztu cyzelatorskiego, mimo ich formalnej koronkowości, mozolnie wypracowanej i sztucznej, wyraźną pustkę tj. nieobecność owego żywiołu poetyckiego, daleko do wyżyn twórczych. Jest to typowa poezja epigonistyczna, której od takiego jej stanowiska nie ratuje jej formalne wirtuozostwo, zresztą wtórne.

Edward Marzec próbuje tu i ówdzie wiersze swoje komponować według nowatorskich kanonów poetyckich z wynikami rozmaitymi. Jego antytradycjonalizm formalny jest jednak raczej pozorny, nie unowocześnia naogół tradycyjnej tematyki ludowej. Prawidłowe rymy tradycyjne zastępuje więc pocta częściej asonansami, niezawsze szczęśliwymi („idą — przybądź" — „ojca — patrząca". Zato metafory swoje, których międzywojenna, histeryczna moda, nie przeżyła się dotąd właściwie, chociaż ówczesne, istne orgie metaforyczne (u przedstawicieli awangardy przeważnie) doprowadziły metaforę wogóle do stanu zwyrodnienia, czerpie głównie z realiów życia ludowego. Nadaje to jego metaforom cechę pewnej świeżości. Pod tym względem manifestuje młody poeta ludowy ambicje, godne pochwały. Podobne ambicje zdradza fównież w dziedzinie słownikowej, próbując tworzyć nowotwory słowne o skojarzonych znaczeniach i poetyckim ładunku, zresztą niezbyt udane n.p. dwurdzenne zrosty przysłówkowo - rzeczownikowe w rodzaju „ciemnozieleni" (str. 8). Miejscami technika awangardowa nieorganiczna w danym wypadku, kłócąca się z regionalnym kolorytem tych wierszy, odbarwia je z konkretnej zawartości znaczeniowej.

(„Stare drzewo. Prawie usechł. Łazi bruzdą. Patrzy za czem" — str. 7).

Obok rymów prawidłowych, rzadszych, co prawda, i asonansów, które przeważają, występują w poezjach Marca również wiersze białe (bezrymowe) o arytmicznych, wybitnie jednak muzycznych kadencjach. Reasumując pod względem wersyfikacyjnym i formalnym trzeba powiedzieć, że wiersze Marca stanowią pewien niewątpliwy etap rozwoju w ewolucji literatury ludowej, nie osiągają jednak jeszcze, jak u Frasika czy Piętaka poziomu pełnoartystycznego. W poezjach Marca uderza, z nielicznymi wyjątkami, ton bezosobisty przeważnie. Elementu lirycznego jest tu niewiele. Dominują opisy pracy wiejskiej i przyrody. Krajobrazy przyrody są w nich tylko składnikiem organicznym życia ludzkiego, nie żyją w postaci zautonomizowanego bytu. Nawet w tematyce tak osobistej, jak wiersze o matce, nie czuje się emocjonalnych tonów, względnie autor nie umiał ich zasugerować czytelnikowi, nie czuje się rytmu serca, bijącego miłością. Jest w nich raczej powściągliwa i ściszona, niemal bezosobista pochwała macierzyństwa, macierzyństwa, pojętego jako symbol rodzinnego losu, którego naczelnym sensem jest bezustanny, wytężony, monotonny kołowrót pracy. Pracę, której opisom poświęca poeta w swoim tomiku sporo miejsca traktuje on nie, jako problemat społeczno - gospodarczy, problemat kontrastów życia wsi i miasta czy klasowych przeciwieństw poziomów bytowania; jest ona natomiast rodzajem wszechobecnego Demiurga, rządzącego losami ludzi - atomów.

„I rządzi nami wszechmoc nie naszych rąk" (str. 11). Powtarza się tu mistyka pracy, charakterystyczna dla literatury o tematyce ludowej (scena śmierci Reymontowskiego Boryny w „Chłopach"). Przemiany rzeczywistości ludowej nie zdołały, jak dotąd zburzyć pewnych zachowawczych rysów duszy ludowej, oraz tradycjonalizmu postaw, wybitnie zautomatyzowanych.

Z wierszy Edwarda Marca bucha wprost koloryt lokalny życia ludowego, głównie w opisach przyrody i fizycznego wysiłku chłopa, wyrażony za pomocą jędrnej i zamaszystej plastyki obrazowania, przy użyciu również tu i ówdzie w oszczędnych proporcjach słownictwa narzeczowego.

„Odtąd życie moje, twoje, jeich
Stadami żółtych gąsiąt, gęsi białych,
najpożyteczniej będzie się weselić
nędznym weselem robotników małych"
(str. 29).

albo

„Wałęga stawiał trzypiętrowe szkoły
Mateusz w wójcie, jak w gnoju się pałkał
(str. 29)

Tomik Edwarda Marca zamyka ewokacja liryczna, wyjątkowa niemal w jego poezjach, pod względem formalnego wyrazu dojrzała już treściowo jednak nieuwyraźniona dostatecznie, mgławicowa.

„Na łące sianem pachnącej
wonnego pełny cienia
chwiejąc się wierzby płaczące
idą po brzegach strumienia
Zabierzcie pola, niech pusta
nogi podetnie mi przestrzeń
Albo w nabrzmiałe usta
wiadrami lejcie powietrze" (str. 37 i 38).

„Wnuczek orze" Edwarda Marca, mimo zaznaczonych wyżej braków formalnych tego tomiku jest niewątpliwą obietnicą talentu, którego dróg rozwojowych niepodobna w tej chwili przewidzieć, a który w swoim obecnym stadium, jak to zaznaczyłem na wstępie, nie reprezentuje jeszcze jego artystycznie skrystalizowanej, zupełnie dojrzałej klasy.

Jerzy Eugeniusz Płomieński

*) Edward Marzec: „Wnuczek orze", Biblioteka Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich.

B KONKURS OCZYTANIA B

1. „Mróz sfolżał, i ociepliło się ździebko, wichry jakby zdychały bo ino od czasu do czasu przedmuchnęły świat, ale już miętsze i nie tak swarliwe a pokryte wielgachną siwą, zgrzebną płachtą, a tak nisko się opuścił, iż jakby się na przydrożnych topolach wsparł. Ale posępnie było, szaro i głucho."

2. „Od skraju lasu do zdroju było siedem lub osiem minut drogi. Cozetta dobrze znała tę drogę, odbywając ją kilka razy we dnie. I dziwna rzecz, nie zabłąkała się wcale. Ślepy instynkt ją prowadził. A jednak nie patrzyła ani na prawo ani na lewo, z obawy, by nie ujrzała czego w gałęziach lub w krzakach."

3. „Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan z swych otchłani wyrzucam bezdennych
I ściskam ją na twarde stalowe kowadło".

WYNIKI KONKURSU OCZYTANIA (A)

Właściwe rozwiązanie Konkursu Oczytania (A) zamieszczonego w n-rze 4-tym dwutygodnika kulturalno-literackiego „ZDRÓJ" jest następujące:

1. **Henryk Sienkiewicz „Quo Vadis?".**
2. **Teodor Dostojewski „Bracia Karamazow".**
3. **Stefan Żeromski „Popioły".**

Spośród odpowiedzi otrzymanych przez Redakcję, właściwe rozwiązania konkursu nadesłali:

1. **Ejsmont Władysław, Gdańsk-Wrzeszcz**
2. **Krajewska Barbara, Lublin**
3. **Goździkowski Władysław, Parczew**
4. **Lis Józef, Lublin**

Nagrody prześlemy pocztą według powyższej kolejności.

Czytajcie i prenumerujcie dwutygodnik kulturalno-literacki „ZDRÓJ"

KSIĄŻKA O NORWIDZIE

(Dokończenie z n-ru 4-go)

A ta zamglona sylwetka Norwida-Quidama powstała wskutek słabego wyzyskania listów poety-„sztukmistrza", w których nie brak bardzo dramatycznych akcentów. Norwid nie szukał cnoty, on ją pełnił, nie szukał sztuki — on ją tworzył. Katolicyzm jego był tak gorący, że pod jego tchnieniem przyjął wiarę Chrystusową, muzułmanin Mirza-Baranowski, a Rosjanka Szuwałoff w wierszu, poświęconym Norwidowi entuzjastycznie maluje jego religijność. I ta religijność wyrażała się w sztuce: w ilustracjach do Biblii i w najlepszym wg Norwida obrazie pt. „Bramy piekła" (który niestety zaginął). Norwid polityk pokazany w rozdziale XV (str. 166—175) nie jest prawdziwy. On zawsze interesował się polityką, a dowodem tego listy do Kraszewskiego, H. Kamieńskiego, Łussakowskiego, M. Sokołowskiego, J. B. Zaleskiego, Geniusza i in. w sprawie dziennika politycznego i jego programu, Komitetu Narodowego, konspiracji, legionu polskiego w Turcji mtd. W r. 1863 wybierał się w szeregi powstańcze, lecz choroba i brak pieniędzy uniemożliwiły mu wyjazd. Niezbyt ściśle są wyzyskane materiały, zawarte w listach, do najlepszego — moim zdaniem — rozdziału XVI, opowiadającego o wypadkach w Rzymie w r. 1848. Najwięcej tu rozmachu prawdziwie epickiego. Ten rozdział, pokazujący Norwida w działaniu istotnie sprawia głębokie wrażenie. Ale nie obeszło się i tutaj bez dowolności. Norwid list od papieża z podziękowaniem otrzymał dopiero w r. 1861, o czym wyraźnie pisze 4 czerwca tegoż roku, a nie w czasie zaburzeń w Rzymie w r. 1848. Rozdział XVII (str. 247—321) tętni również rozmachem epickim, ale potem obraz życia Norwida zasnuwa się coraz gęstszą mgłą. Jeszcze pobyt w Ameryce opowiedziany jest dość żywo z uwzględnieniem wszystkich szczegółów, ale brak wzmianki o rozpaczliwym liście do Mickiewicza i Hercena z prośbą o pieniądze na podróż powrotną do Europy. Znowu rozpacz Norwida i nostalgia za ojczyzną przez ograniczenie się autorki do przytoczenia listów uległa osłabieniu.

Wszakże najgorzej przedstawia się sprawa 20 lat życia Norwida, między r. 1856 i 1877. „Długi epilog" przedstawia Norwida już zgrzybiałego w przytułku św. Kazimierza. Dlaczego autorka zapuściła kurtynę na tak ważny w życiu Norwida okres po powrocie z Ameryki? Przecież to okres bodaj najdarmatyczniejszy, okres, w którym poczuł najdotkliwiej swoje osamotnienie, gdy w r. 1860 umarła jego najdroższa siostra, Paulina Suska — istota niemniej droga jak pani Kalergis.

Jest to okres najbolesniejszego rozgoryczenia poety-malarza na społeczeństwo polskie i stwierdzenia, że w „niczyje serce już na świecie nie wierzy", okres najgorszej nędzy a równocześne tytanicznej pracy nad rozwojem swego talentu „sztukmistrza", która go o mało nie przyprawiła o rozstrzelanie w czasie komuny paryskiej. Gdy szkicował sceny uliczne, żołnierze aresztowali go jako rzekomego szpiega pruskiego. Ledwo uratował głuchego i zapuchniętego artystę emigrant polski, co go pamiętał z wykładów o Słowackim, które były jednym wielkim sukcesem Norwida (moralnym, lecz nie materialnym!). Jest to okres „zdeklasowania", w którym poeta-malarz, porównywany przez krytyka francuskiego do Leonarda da Vinci, Rembrandta i Dürera, musiał zarabiać na kawałek chleba jak najzwyklejszy wyrobnik i to w obliczu rozwijającej się szybko gruźlicy.

Mimo wysuniętych tu zastrzeżeń książka Hanny Malewskiej o Norwidzie zasługuje na uwagę, bo zaspokaja pragnienie publiczności literackiej poznania Norwida, dokoła którego wytworzyła się legenda tajemniczości i niezrozumiałości. W powojennej naszej literaturze jest „żniwo na sierpie" pozycją wartościową, bo zbliża czytelnika do tego niezwykłego renesansowego poety-artysty, polityka i filozofa oraz organizatora duchowego zbiorowości polskiej, jakim jest Norwid. Jeżeli nie udało się Malewskiej stworzyć portretu o rafaelowskiej pełni i soczystości kolorów, to jednak za ten ambitny zamiar należy się jej uznanie. Wypełniła bowiem lukę w biografice powieściowej naszych wielkich poetów romantycznych.

Po „Prometeuszach" St. Szpotańskiego, ukazujących Mickiewicza, po „Słowackim" Juliana Wołoszynowskiego, po „Zygmuncie" Aliny Świderskiej przychodzi opowieść o Norwidzie. Jest ona słabsza od tamtych, ale też Malewska miała największe trudności do pokonania. Przezwyciężając je pragnęła zbliżyć poetę-artystę do polskiej publiczności literackiej i w ten sposób stworzyć pomyślniejszy klimat dla recepcji jego dzieł. Zdaje się, że cel ten autorka osiągnęła.

Zygmunt Bownik

PRZEGLĄD CZASOPISM

Już pierwszy rzut oka na kolumny nowego tygodnika daje dużo do myślenia: „Nowiny Literackie" pragną być kontynuacją „Wiadomości Literackich". Wskazuje na to tytuł, format, ilustracje, rozplanowanie treści, cały układ graficzny.

Może wystarczą też nazwiska stałych współpracowników przedwojennego pisma (Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska, Stanisław Helsztyński, Jerzy Zaruba), ażeby, wobec objęcia naczelnej redakcji przez Jarosława Iwaszkiewicza, można było uważać „Nowiny za świadome nawiązanie do tradycji „Wiadomości". Antoni Słonimski w opublikowanym liście do redaktora „Nowin" zapowiada ściślejszą współpracę, niewiadomo, czy odezwą się nieobecni, przebywający „programowo" na emigracji: Grydzewski, Baliński, Wierzyński, Lechoń.

W każdym razie tradycji stało się zadość. Przechodząc do zmian na pierwszym miejscu wymienić trzeba „uspołecznienie" tygodnika wydawanego przez Spółdzielnię Wydawniczą „Wiedza", zajęcie stanowiska kronikarza przez Juliana Hochfelda (będą to „wycinkowe, może nawet marginesowe zagadnienia społeczno-obyczajowe"), uderzający brak przeglądu wydawnictw bieżących.

Miejsce pegaza na kliszy tytułowej zajęła Syrena, może dlatego, że pegaz trafił niedawno na okładkę „Odrodzenia", a może dlatego, że Syrena ma symbolizować bliższy związek „Nowin" ze stolicą.

Pierwszy numer „Nowin" odznacza się urozmaiconą treścią i bardzo staranną formą. Aforystyczne „Zwierzenia" Nałkowskiej, rozważania o stylu demokratycznej kultury Ossowskiego, fragment pamiętnika Stanisława Stempowskiego, artykuły Marii Dąbrowskiej, St. R. Dobrowolskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Stanisława Helsztyńskiego nie wnoszą wprawdzie do naszej prasy literackiej zdecydowanie nowego nurtu, ale są lekturą interesującą i tworzą zwartą całość razem z wszechstronnym omówieniem zagadnień plastycznych i sprawy Filharmonii Narodowej. Ze zdecydowanie klasycyzujących wierszy najświeższy chyba „Łuk" młodego Bartelskiego.

„Nowiny" wywołały znaczne zainteresowanie. Jakie będą, jaka rola im przypadnie w naszej prasie literackiej — zobaczymy niebawem.

Wobec przeniesienia się z Krakowa do Warszawy „Odrodzenia" i wobec ukazania się „Nowin" stolica stanie się najpoważniejszym ośrodkiem życia literackiego, najzupełniej słusznie. Z pewnością wytworzy się rywalizacja między „Nowinami" i „Odrodzeniem", ale spodziewamy się po tej rywalizacji osiągnięć pozytywnych. Wolno mieć nadzieję, że „Nowiny" wskrzeszając formę „Wiadomości" potrafią przecież wypełnić ją inną, własną treścią społeczną, że odejdą daleko od tych praktyk, które dla „Wiadomości" były tak charakterystyczne. (Nie ulega wątpliwości, że „Wiadomości" miał na myśli Karol Irzykowski, kiedy pisał o przemilczaniu „petitem i garmondem" pewnych książek, pewnych pisarzy").

Bez przesady można powiedzieć, że „Twórczość" zdobyła sobie w naszym czasopiśmiennictwie wyjątkowy autorytet i poważanie. I chociaż jej cena, wynosząca ostatnio 100 złotych, przekracza zdolność nabywczą niejednego czytelnika, wszyscy przyznają zgodnie, że „Twórczość" warto kupować i przechowywać, wydawnictwo to bowiem zasługuje na wielokrotną lekturę.

Dwadzieścia zeszytów tego miesięcznika literacko-krytycznego stanowi dorobek bardzo poważny. Zarówno w dziedzinie materiałów literackich będących cennym archiwum literatury lat wojennych, bądź prospektem nowych książek i nowych kierunków, jak i w dziedzinie szerszej niż stolik literacki dyskusji („Twórczość" ma poczucie aktualności w głębszym znaczeniu!). Miesięcznik krakowski ogłasza prace o zagwarantowanym poziomie, nienaruszonym przez dziennikarski pośpiech, przez felietonowe kłótliwe gadulstwo. Jeżeli początkowo w „Twórczości" więcej spotykaliśmy „literatury" niż „krytyki", co wobec rękopisów niecierpliwie czekających na druk było zupełnie zrozumiałe, teraz może silniejszy akcent pada na drugą część podtytułu. „Twórczość" stała się jedynym w swoim rodzaju „seminarium krytycznym", które skupia pióra młode i bardzo precyzyjne.

Ozdobą marcowego numeru „Twórczości" są „Mickiewicziana moskiewskie" odszukane w archiwach moskiewskich przez Samuela Tiszmana, opracowane i skomentowane przez Stanisława Pigonia.

Numer poświęcony jest w przeważnej części Mickiewiczowi, mówi o tym nowa okładka z rysunkiem głowy poety, a w treści „Wspomnienia o mężu Maryli" Krystyny Grzybowskiej, „Biografia Wawrzyńca Puttkamera pisarza przez jego syna", fragmenty z powieści biograficznej Aliny Świderskiej oraz rozprawa Wacława Kubackiego, który przeprowadza gruntowną analizę stylistyczną formy w „oboim żywiole" z sonetu Mieckiewicza „Do samotności".

LUBELSKA SPÓŁDZIELNIA SPOŻYWCÓW [L. S. S.]
rok zał. 1913

HURT **DETAL**

SPRZEDAŻ ARTYKUŁÓW BRANŻY
SPOŻYWCZEJ, ŻELAZNEJ, CHEMICZNEJ, WŁÓKIENNICZEJ, PORCELANA–FAJANS

Posiada: 50 sklepów — we wszystkich punktach miasta
Poleca: HERBATĘ [hurtowo i detalicznie] we wszyskich sklepach spożywczo-kolonialnych.

Śledzie szkockie, holenderskie, oraz duży wybór wyśmienitych **konserw rybnych** w bogato zaopatrzonym sklepie przy ul. KRAK. PRZEDM. 51.

ROLNICY!

Za pośrednictwem ODDZIAŁÓW „SPOŁEM"
SPÓŁDZIELNI ROLN. HANDL.
oraz SPÓŁDZIELNI SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ

SKUPUJEMY: wszelkiego rodzaju ziemiopłody
DOSTARCZAMY: artykuły przemysłowe dla wsi

„SPOŁEM"
OKRĘGOWY ODDZIAŁ ROLNICZY
Lublin, Bernardyńska 18.

MYDŁO „SIEW" ZNANEJ JAKOŚCI
do nabycia we wszystkich sklepach
FABRYKA: LUBLIN, PRZEMYSŁOWA 22. Telefon: 36-23

KOMUNIKAT

Do uczestniczek i uczestników konspiracyjnych kursów dla pracowników uniwersytetów ludowych.

KOLEŻANKI I KOLEDZY!

Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych Rzeczypospolitej Polskiej przygotowuje do druku wydawnictwo, które ma odtworzyć treść i przebieg pracy konspiracyjnych kursów i zespołów samokształceniowych, prowadzonych w latach 1942—1944 dla kandydatów na pracowników uniwersytetów ludowych.

1. Ogólne sprawozdanie opisowe z organizacji i przebiegu pracy kursów samokształceniowych.

2. Wygłoszone na kursach wykłady i referaty.

3. Sprawozdania z prac poszczególnych zespołów samokształceniowych.

4. Opisy prób prowadzenia tajnych uniwersytetów ludowych w terenie.

5. Wspomnienia i przeżycia uczestników kursów i zespołów.

6. Informacje ogólne o uczestnikach oraz wspomnienia o tych, którzy padli w walce z okupantem.

Zawiadamiając o powyższym Zarząd T. U. L. — R. P. prosi o zgłoszenie osobiste lub pisemne faktu swego uczestnictwa w jednym z ówczesnych kursów lub zespołów samokształceniowych z podaniem następujących danych:

1. imię i nazwisko; 2. pseudonim wówczas używany; 3. obecny adres; 4. obecne zajęcie; 5. obecne ustosunkowanie się do pracy w uniwersytecie ludowym; 6. zamierzenia na przyszłość, jeżeli wiążą się z pracą w uniwersytetach ludowych.

Poza tym prosimy o przygotowanie na pośmie swej wypowiedzi o charakterze określonym powyżej w punkcie 5, która zostanie pomieszczona w wydawnictwie. Może ona mieć charakter wspomnieniowy czy refleksyjny albo może być ujęta pod postacią obrazka literackiego, odtwarzającego sytuację i przeżycia tamtych czasów, związane z omawianą tu pracą.

Zgłoszenia nadsyłać należy pod adresem: Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych R. P. — Warszawa, ul. Smulikowskiego 6/8 — do dnia 1 maja 1947 roku, zaś prace piśmienne pod tymże adresem do 1 lipca 1947 roku.

HURTOWNIA DROGERYJNA
Skład Materiałów Aptecznych i Farb
Foto - Laboratorium
J. MAGIERSKI i S-ka
wł. T. Kielas ński i St. Ma ierski
Lublin, ul. Krak.-Przedm. 25, tel. 10-83

W SZYSTKIM WSPÓŁPRACUJĄCYM Z NAMI URZĘDOM, ORAZ INSTYTUCJOM, JAK RÓWNIEŻ PLACÓWKOM SPOŁEM I SPÓŁDZIELNIOM ZASYŁA ŻYCZENIA

„Wesołego Alleluja"

„SPOŁEM"
Związek Gospodarczy Spółdz. R. P.
Okręgowy Oddział Spożywczy
Spółdzielcza 4
W LUBLINIE

„SPOŁEM" ZWIĄZEK GOSPODARCZY SPÓŁDZIELNI R. P.
OKRĘGOWY ODDZIAŁ MLECZARSKO-JAJCZARSKI
w Lublinie, Kapucyńska 1.
PROWADZI SKUP: MASŁA, SERÓW, JAJ, MIODU, DROBIU, PIERZA.

B KUPON UCZESTNICTWA W „KONKURSIE OCZYTANIA" DWUTYGODNIKA KULTURALNO-LITERACKIEGO „ZDRÓJ" B

Imię i nazwisko .....
Adres .....
ROZWIĄZANIE:
1. autor ..... książka .....
2. auto ..... książka .....
3. autor ..... książka .....

NIERUCHOMOŚCI
sprzedaje biuro
Mierniczego Przysięgłego
BOGDANA BIAŁKOWSKIEGO
Lublin, Sądowa 4.

Redaktor: Dr STANISŁAW K RKOWSKI — Wydawca: FRANCISZEK TWARDOŃ
Redakcja i Administracja: Lublin, ul. 5 ... 13; tel. 30-45. Redaktor przyjmuje: we środy od 15—16.
Administracja czynna codzie od 9—13 i od 16—18 Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się
Cena Numeru 15 zł — Prenumerata: rocznie zł 300; półrocznie zł 160, kwartalnie zł 80.—

Druk. Nr 1. Spół. Wyd. „Czytelnik", Lublin, Zamojska 24 — A-10777,